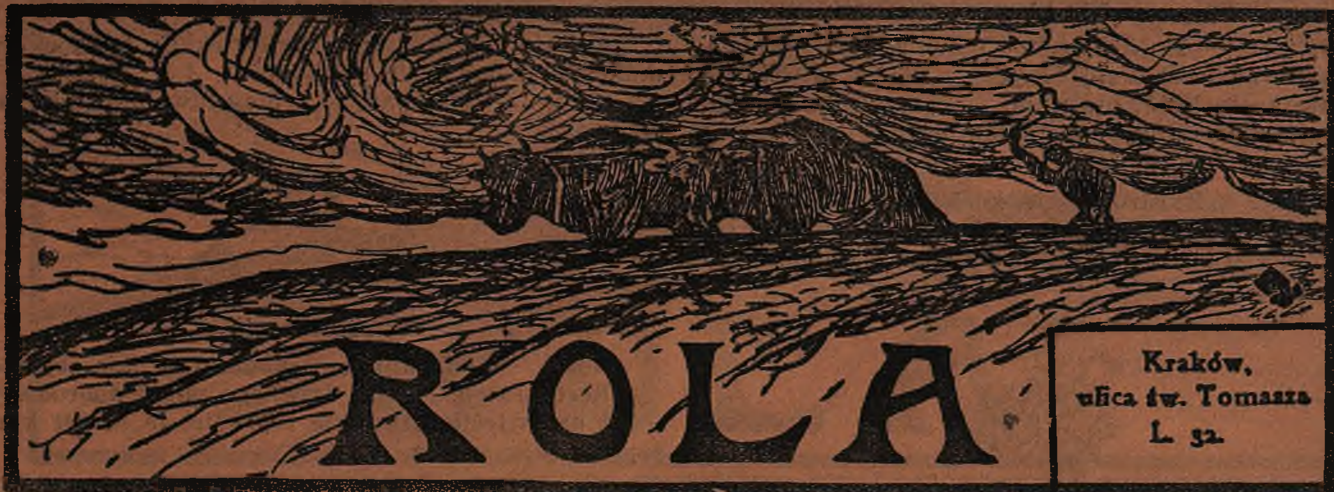
Numer 11. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 13 Marca 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nie kłam.

Ojciec: — Moje dziecko, mów zawsze prawdę. Kłamstwem trzeba się brzydzić; nawet gdyby cię czekała za to kara, nie mijaj się z prawdą. No cóż, obiecujesz mi, że nigdy nie skłamiesz?

Synek: — Dobrze tato.

Ojciec: — Bardzo ładnie, kochanhe dziecko, a teraz idź zobacz, kto tam dzwoni. Jeżeli to woźny sądowy, to mu powiedz, że mnie niema w domu.



Złapał się.

— Patrz! Złodziej zakrada się do twego domu, a ty się śmiejesz.

— Śmieję się, bo żona będzie myślała, że to ja tak późno wracam do domu i sprawi mu dobre lanie.



Wet za wet.

— Jak można mieć taki długi nos! Miałem pana dlatego za żyda, a jednak pan nim nie jest.

— No widzi pan, jak się to można pomylić. Ja pana z powodu dużych uszu zawsze miałem za osła, a jednak pan nim nie jesteś.

Odciął się.

Agitator socjalista: — Człowiek na to żyje, aby jadł, spał i bawił się swobodnie.

Chłop: — Wie pan, to i moje dwa prosiaki tak samo żyją.



W restauracji.

Gość: — Ależ panie mój, podano mi jaja zepsute!

Restaurator: — Nic dziwnego panie dobrodzeju, teraz na świecie jest takie zepsucie, że nawet kury zepsute jaja znoszą.



Na lekcji.

Nauczyciel: — Powiedz mi, co to jest małpa?

Uczeń: — Małpa to jest takie same stworzenie, jak i pan profesor, tylko że ma ogon i jest bardzo mądre zwierzę.

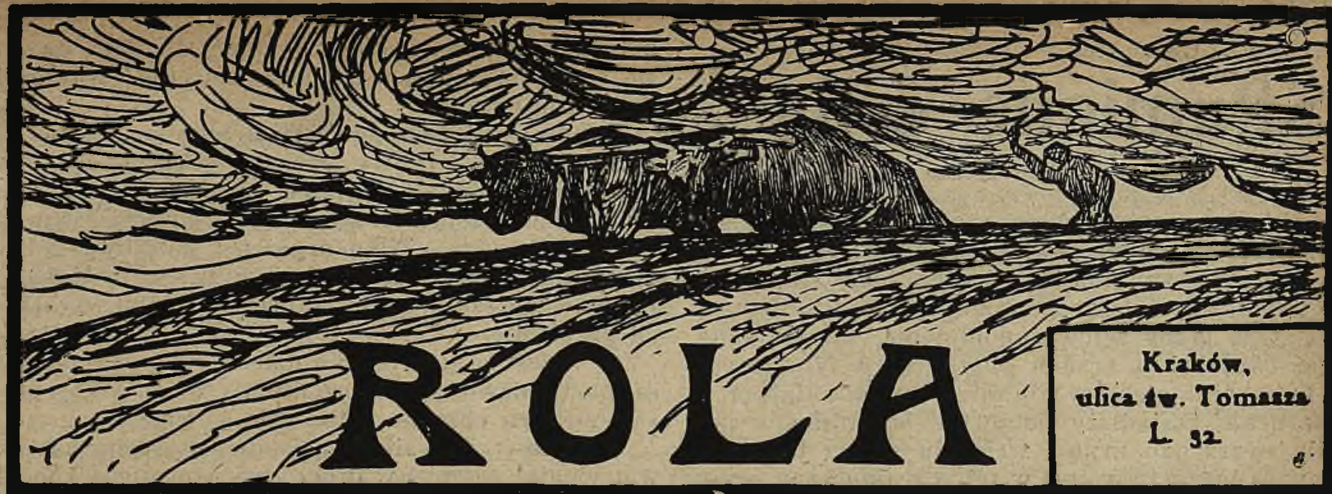


Naśladowany osioł.

Pewien młodzieniec nauczył się dokładnie naśladować ryk osła. Raz siostra jego znajdowała się w licznem towarzystwie, które siedziało w salonie, w salonie, zabawiając się rozmową. Tymczasem na dziedzińcu zaryczał rzeczywisty osioł.

— Słuchajcie państwo — odezwało się dziewczę — to mój brat nadchodzi.

Numer 11. Rok XV. Kraków, dnia 13 marca 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Do pracy nad młodzieżą.

Mija już trzynaście lat, jak skończyła się wojna światowa, lecz echa tej okropnej rzezi odzywają się dotychchczas w postaci zepsucia i zdziczenia moralnego pośród młodzieży. Szczególnie owa zaraza ogarnęła dziś młodzież wiejską, pośród której szerzy się ona z dnia na dzień w zastraszający sposób. Dość spojrzeć na jakiekolwiek bądź gazety (które tylko najważniejsze wypadki notują), by się przekonać o jej rozmiarach, a cóż dopiero być świadkiem i naocznie się przekonać, co się dzieje na wsi?... Strach pomyśleć!...

Niema wsi, niema tygodnia, by się nie odbywały bójki, napady, a nawet i morderstwa. Poprostu życie na wsi staje się nie do zniesienia!

Dużo się mówi w obecnych czasach o rozmaitych zagadnieniach i kwestjach socjalno-społecznych, nie przynoszących społeczeństwu ani duchowych, ani materjalnych korzyści i dużo ludzi głowi się nad ich rozwiązaniem, a raczej zawikłaniem, — a o tej naglącej najważniejszej sprawie, jak ratować duszę młodego pokolenia od niechybnej zguby, jakoś się milczy!

Trudno jest sobie wytłumaczyć dziwne milczenie prasy i społeczeństwa dla tej sprawy!... Czyżby nikt nie doceniał należycie grożącego niebezpieczeństwa z tej strony, bo niebezpieczeństwo jest wielkie i lekceważyć go sobie nie wolno, gdyż tu idzie o przyszłość narodu i dalszych pokoleń!

Tak dalej być nie może! Najwyższy czas przejrzeć i popatrzeć tej prawdzie w oczy i rozpocząć akcję w celu uzdrowienia tych stosunków. Tu nie wystarczy i nie pomoże zwalić ogrom tej pracy na barki poszczególnych osób lub instytucyj oświatowych, lecz tu musi być zbiorowy wysiłek całego społeczeństwa, by uleczyć i wykorzenić tę gangrenę, toczącą, jak rak, duszę młodego pokolenia. I akcja ta musi pójść w kierunku uświadamiania, a nie kodeksem karnym! Czas, na Boga, czas, rozpocząć tę pracę, gdyż inaczej gorze nam...

Czas i tobie młodzieży wiejska opamiętać się i zawrócić z tej błędnej drogi, po której kroczysz dotychczas i która cię wiedzie do upadku, hańby i zbrodni. Niech odżyje w tobie, młodzieży kochana, duch przodków twoich, niech praca ojców nie idzie na marne. Czas zaprzestać waśni, a wziąść się do pracy nad uzdrowieniem ducha!

Pamiętajmy, że przyszłość nasza i przyszłych pokoleń leży w naszych rękach, jak sobie życie ułożymy, takiem je będziemy mieli. Tu nam wiele nikt nie pomoże; pracować sami musimy nad wykorzenieniem zła w sercach naszych, a pracy w tym kierunku jest ogrom!

Wziąć tylko pod uwagę związki i stowarzyszenia młodzieży, które po wojnie w pierwszych latach dość żywo się rozwijały, a obecnie upadają albo prowadzą suchotniczy żywot, a powodem tego brak zainteresowania i poparcia szerszego ogółu.

Być może, że nie wszystkie stowarzyszenia młodzieży stanęły na wysokości swego zadania, lecz tu właśnie jest wina społeczeństwa!

Nie dajmy więc upaść tym instytucjom, które po wsiach są jedynemi krzewicielami oświaty pośród młodzieży, lecz zasilmy ich szeregi i wspomóżmy, czem kto może: pracą, nauką i groszem!... Nie przechodźmy obojętnie około tych, którzy będą kowalami przyszłości, ale wspomóżmy ich wedle sił naszych.

A więc wszyscy do szeregu i do pracy dla dobra własnego i dobra ukochanej Ojczyzny!

Antoni Kurek.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

Ani jeden promień słońca nie przedostawał się do wnętrza. Za jedyne oświetlenie służył ogień święty, a w blasku tym snuł się ku górze biały słup wonnego dymu, napełniającego gontynę duszącą, dziwną wonią. Coś, jakby senne zapomnienie, zaczęło snuć się po twarzach i oczach obecnych, a tymczasem woń była coraz głębsza, silniejsza i oszałamiająca.

Jarucha, zasiadłszy ponownie na trójnogu, pochyliła twarz nad urną i wciągała woń z lubością. Następnie odrzuciła głowę w tył, a rozszerzone, przepaściste oczy przybrały wygląd szklisty. Wtedy, jakby na ukryty znak, dała się słyszeć subtelna, słodka muzyka. Łagodne dźwięki, o jednostajnym kojącym rytmie, dziwnie dźwięczne a ciche, zlewały się z upojną wonią w tak harmonijną, oszałamiającą umysł całość, że trudno było odgadnąć, gdzie się kończy działanie muzyki, a rozpoczyna wszechwładna moc woni.

Jarucha siedziała długą chwilę nieruchomo, wreszcie, jakby ujrzała widmo jakieś, rzuciła się wprzód...

— O jak cudnie falują w słońcu pola złociste... chybko jaskółka muska je piersią białą... jak pokrzepienie spływa z podniebnych stropów mocna pieśń skowronka.. a dzwoni w ciszy tak rozgłośnie, a dźwięki jej takie słodkie, aż dziw. A cisza ta jakże dziwna... Słychać w niej szelest skrzydeł motylich i pojękiwanie żałosne mrówki, ciągnącej igliwa świerka, za ciężkie na jej barki... cisza głucha a głośna — jak cisza śmierci! Idzie... to na jej przyjście cisza taka... idzie w tupocie końskich nóg, od których ziemia drży, idzie w poszumie orlich skrzydeł i we wrzaskach hordy dzikiej, wściekłej... już się zwarli i kują... szczęk mieczy, kwik koni i jęki to groźne, to łzawe... a oni kują! A z nimi Orły białe i... krzyż!! Biały tuman mgły przysłonił wszystko!...

Lecz nie, walczą dalej i tu... i tam... wciąż te jęki dławiące, wciąż krew, pożary i zgliszcza, szaleństwo matek, płacz dzieci... ha, ha, ha, miłość!... miłość w tem kuciu strasznem... w każdym dźwięku miecza! A wszystko, co szlachetne, do matki, do ziemi... co podłe, na przypiecku... by po zwycięstwie korzyść brać!

O tam orzeł biały! skrzydła mu złamali... w proch opadł... już kona... aaa! — nie, dźwiga się jeszcze... daremnie! A co za męka! padł! Loty złamane! legł bezsilny!... Palce szpony skrzydła mu szarpią, pióra wydzierają, a krew gorąca białe pióra plami... o, głowinę zwiesił...! Przestańcie podli! przestańcie przeklęci!

Ale co to? Gdzie kropla krwi padnie na głowę, do serca przecieka, a z serca zdrój wytryska i płynie chłodny, rzeźwy... i piją zeń spragnieni, osłabli... zrywają się i orła krzepią... o, nędzarze!

Głowa starej opadła w tył bez czucia. Subtelne dźwięki wzmogły się, nowe kłęby dymu otuliły wszystko woalem mgły, a z mgły tej wychyliła się postać dziewicy, zdająca się płynąć w rytmicznym bezszelestnym tańcu. Włosy to rozwiewały się, to otulały ją niby płomień złoty, głowa przechylała się w tył, a białe równe zęby, przecięły różaną linję ust, znacząc krwawy ślad. I tańczyła w ekstazie dzikiego uniesienia, lekka, zwinna, cudna w swym wieńcu habrów i maków „królowa sylfów“. Melodja stawała się coraz upojniejsza, a ruchy tancerki coraz szybsze i namiętniejsze.

Nagle z miejsca, gdzie leżał Skryba, dał się słyszeć krzyk przenikliwy. Jarucha ocknęła się i podniosła się szybko z trójnogu. Skryba wytężył się w skurczu przedśmiertnym, z ócz potoczyły mu się dwie ciężkie łzy... kilka drgnień i potężny władyka Triglewskiej osady był nędzną glinianą powłoką.

Równocześnie cudna tancerka padła wyczerpana na ziemię.

— Cześć ci, o władyko dzielny! — zawołała stara, na tle dźwięków, które ścichły znów, jakby przeszło po nich chłodne dotknięcie śmierci.

— Cześć ci za siłę twą i moc, za ducha hart, za wytrwanie! A iżbyś w drogę swą sam nie odchodził, towarzyszyć ci będziemy! Pospieszyłeś się i wyprzedziłeś nas, lecz nie ostaniem tu, bo i po co? Nasz świat kończy się, przegraliśmy, odchodzimy wolni! W nowej wiary okowy nikt nas nie zakuje! A żeśmy tu nie wszyscy, że najprawszych brakło, nie dziw się panie! Po niewoli oni poszli, do grodu!

I długo jeszcze wyliczała stara zalety i cnoty Skryby, a muzyka grała nieprzerwanie. Tancerka rozpoczęła dalej przerwany taniec, a Swarożyc w blaskach sutego ognia zdawał się radować krwawym połyskiem ócz.

Wreszcie oszałamiająca woń i muzyka spowodowały stan, jakby hypnozy... już i kapłanki przeszły w obłąkany wir, gdy Jarucha zbliżyła się do pęków chróstu z płonącem polanem w ręku. Następnie z zanadrza wyjęła szmatkę zawiązaną starannie i nie rozwiązując, rzuciła w ogień.

Rozeszła się dziwna dusząca woń... trzask płonących gałęzi zagłuszył jęk dławiący — i subtelne dźwięki muzyki...

Pierwsza padła tancerka, za nią Hoża i Mira, w końcu trzej starzy gęślarze.

Jarucha żyła jeszcze.

— Nie przychodzisz? Musisz przyjść! Musisz — szeptała napół przytomnie z dzikim uśmiechem.

Wreszcie zmroczyło ją do reszty i runęła... w sam środek świętego Znicza. Płomień błysnął wyżej i oświecił na sekundę zimne rysy Swarożyca, jego połyskujące krwawo ślepia, obojętne i szydercze... i przez jedno mgnienie oka cienie, ślizgające się po jego twarzy, wykrzywiły ją w uśmiech ironiczny!

Kilkuwiekowy Swarożyc śmiał się ostatnim śmiechem nad kruchością ludzkich mitów i wierzeń...

Tymczasem coraz większy dym wypełniał gontynę. Ogień rozszerzał się, objął suche ściany, które płonęły, jak smolne łuczywo.

W kilka godzin później garść popiołu pozostała ze Swarożyca, gontyny i ostatnich jego czcicieli!...

XV.

Mieszkańcy osiedla, towarzyszący żałobnemu pochodowi do gontyny, stali chwilę zawiedzeni w swych nadziejach. Sądzili, że stara uczyni jakiś cud (n. p. nadprzyrodzone uzdrowienie władyki), że będą świadkami jakichś nadzwyczajnych wydarzeń, tymczasem, nic podobnego! Stali chwilę w daremnem oczekiwaniu, wreszcie zaczęli się rozchodzić do swych zajęć. Do Stańka, idącego z żoną i synem na stawy, przyłączyła się spora gromadka. Jedni dla wspólnej pracy, inni dla pogawędki.

Opróżniwszy sieci i nagadawszy się do syta, zaczęli myśleć o odwrocie, gdy od strony dworzyszcza nadjechał pędem konny posłaniec.

— Gontyna w ogniu — wrzasnął i popędził dalej. Wołali nań, aby się wstrzymał, nie słyszał! Już piął się w górę...

Spojrzeli w jego ślady: gęsty pióropusz dymu przysłaniał szczyt wzgórza.

Stańko, rzucając wszystko, popędził w górę, w ślad za nim skoczyli inni!

Tymczasem z przeciwnej strony, od Stańkowej polany, pędził ktoś z wiatrem w zawody. Koń dopadłszy dworzyszcza, legł, stękając ciężko. Jeździec zeskoczył zręcznie, chroniąc się przed upadkiem i wpadł w sień.

Rzucił okiem w pustą świetlicę, jednym susem przebiegł sień i znalazł się na drugiej stronie domostwa. Tu, ujrzawszy zebranych, zatrzymał się i oparł o uszak drzwi, dysząc ciężko.

Był to Bolko. Dojeżdżał właśnie do Triglowskiej góry, gdy ujrzał zdaleka kłęby dymu i aż skurczył się od wewnętrznej trwogi i złych przeczuć.

Mieszko, widząc, co się z nim dzieje, kazał mu skoczyć przodem. Chłopak ruszył, jak szalony, gnał, jak wicher dwie godziny i wreszcie dopadł dworu.

Obecni patrzyli nań ze zdziwieniem. Wystraszeni pożarem i tym dziwnym splotem niezwykłych wypadków, widzieli w nim wysłańca jakichś tragicznych wydarzeń...

Wreszcie Bolko oprzytomniał.

— Co znaczy ten pożar? — zawołał.

— Gontyna płonie!

— A niechże ją najjaśniejsze! Omałom ducha przez tę budę nie wydychał! Koniam grzecznego zajeździł na nic! Ale co to oniemieliście, czy co — wołał, patrząc na posępne twarze obojga — człek ostatniej pary dobył, pędząc, a ci nawet powitać nie radzi!

— Pocoś pędził? — pytał kapłan, obojętny na wszystko, co nie było pożarem.

— Dobrzyście sobie, ojcze! Siedzicie w spokoju, a człek się tuła, do celu dobrnąć nie mogąc! A tu jeszcze ni stąd ni zowąd dym i płomienie! Myślałem: osada się pali, czy co? Człek z poczciwą myślą do was...

— Bóg zapłać za chęci poczciwe! Ale widzisz ten pożar. Tam znajduje się obecnie babka moja i Sławy, a matka macierzy mej i stary władyka! Nie wiemy nic, co z niemi!

— Babka? wasza? ojcze!

— Tak. Stara Jarucha to Luba Niemirowa, a ta oto dziewoja, to siostrzyczka moja najmilejsza. Sława — Katarzyna, córka Jaksy!

— Córka Jaksy? Dziw, dziw! Niezwykłemi drogami Opatrzność Boska chadza! Bo wiecie? Z niewoli niemieckiej powrócił człek czerstwy jeszcze, — z białą jak mleko głową... Dwanaście lat ciężkich przeżył i wrócił! A człek ten mieni się Jaksa!

Sława krzyknęła uradowana i skoczyła do Bolka, zarzucając mu ramiona na szyję.

W tej chwili jednak odskoczyła zmięszana, a Bolko, chwytając jej rączki i tuląc je do ust ze śmiechem, wołał z błyszczącemi szczęściem oczyma:

— Ot za takie podziękowanie, wolej było starego na plecy brać i przed tobą dziewczko luba strząsnąć, mówiąc: Rodzica w gościńcu wiozę! Śliczności złociste! Kwiatuszku wonny!

Kapłan patrzył pobłażliwie na młodych, rad bardzo! Bolka lubił serdecznie, znał jego zalety i wady, posłał więc do Pana gorące westchnienie, aby życzenie, co się w myśli zrodziło, zrealizował. Wnet jednak odsunął od siebie myśl niewłaściwą w tej chwili i zaczął opowiadać Bolkowi przebieg wypadków od czasu jego wyjazdu.

Bolko słuchał coraz więcej zdziwiony...

— Teraz stoimy tu, nie rozumiąc, co ów pożar znaczy!

— A cóżby znaczył! Nie dzieci są! starego wynieśli, a buda pali się, spali i koniec!

— A jednak boimy się nieszczęścia...

— Co zaś prawicie! Ale wiecie co? Dajcie konia, skoczę!

— Ostańcie z nami! Czeladny pognał przed chwilą, wróci niezadługo!

— Ano to spocznę krzynę! A potem trza naprzeciw miłościwego pana!...

— Jakto? książę? tu?! — zawołali oboje.

— Równo z zachodem słońca stanie!

Sława za głowę się chwyciła.

— I wy teraz dopiero mówicie? — zawołała, klaszcząc w dłonie — Lila! Mira! bywajcie!

Nikt się jednak nie zjawiał. Służba, zaintrygowana pożarem, rozbiegła się.

Wtedy Sława skoczyła do najbliższych lepianek, zwołując swe przyjaciółki i wspólnie z niemi zabrała się do pracy. Izby wymieciono, wykadzono jałowcem, a podłogi usypano tatarakiem. Wkońcu dziewczęta pomyślały o sobie i rozbiegły się do domów.

Teraz dopiero zaczęła schodzić się czeladź, nadciągnął ponury i zamyślony Stańko, oraz Ludomira i Zbilut z popuchniętemi od płaczu oczyma. Na końcu przyciągnął Luboń smutny i zafrasowany.

Stańko zaczął opowiadać wszystko, czego był świadkiem i wtedy dało się słyszeć rozpaczliwe łkanie Sławy, któremu zawtórowały kobiety.

Kapłan szeptał, jak pierwej, cichą modlitwę.

— Jakto, więc mówicie, że zamknięto od wewnątrz? — dopytywał jeden z ludzi Dowmunta, który wraz z niewielką garstką pozostał w osadzie, celem osadzenia kilku roji, w czem był doskonale obznajomiony.

— Ano tak! — odparł Stańko — gdym drzwi dopadł, nie płonęły jeszcze! Pchaliśmy z całej siły, nie ustąpiły! I ledwo odskoczyliśmy na stajanie, już zapadło się wszystko!

— Sami śmierci szukali, gdyż cel życia stracili — szepnął Luboń. — Ale mocno wytrwali do końca!

— Mówicie, jakbyście czyn ich i upór w powadze mieli — rzekł z przekąsem jeden z Dowmuntowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

U stóp krzyża.



W łunach zachodu płonących nad światem
Kona rozpięty na Krzyżu Syn Boży — — —
A nędze ludzkie boleścią skrzydlate
Spieszą Mu u stóp moc swych błagań złożyć.

Krzyż na mogile prastarej się chyląc,
Pociechę zsyła dobrym smutnym duszom
Co jak ptaszęta u stóp Jego kwilą,
Bo drogą cierpień w Dal Jasną iść muszą..

Ciche modlitwy jak gwiazdy płonące
Na firmamencie Życia lśnią mocarnie — — —
A dobry Chrystus niesie je w swe Słońce,
Gdzie je Dobrocią wieczystą ogarnie...

Nigdy, o nigdy rozpaczać nie trzeba,
Gdy karma ciśnie nas twardą obrożą...
Bo Droga wszystkim otwarta do Nieba
Przez ból, a Miłość wiekuistą — Bożą...

Wojciech Byczek-Breowicz.



A Jontek kcioł i Franuś posed i zabił się

Wołali go gibki Franek, a gibki beł, kieby ten wąz hań w smrekowych lasach. A jaki zwinny, skakał po skałach ni ta wiewiórka z gałązki na gałązkę. Mioł już z dziesięć roków, jak go matula odumarli. Ociec, jak słyszoł, zginoł w Dunajcu. Łapoł pstrągi i przisła wielko fala, co go zachlusła, ze ani nie zipnął. A jego (Franka) wzięli swok do siebie, by owce na holi pasoł.

I wyrósł z niego ładny chłop, aż dziwki za nim ocami scylały. Bo gdy sed sobie z fujarką, smukły, jak topola, paść owce na holę, to mu starzy psepowiadali, ze kiedyś bacą ostanie. A jak zagrał na fujarce, to jaz ciorki po kościach chodziuły, a syćkie dziwki chipkać kcioły, a echo po skałach odpowiadało.

Syćkie dziwki go lubiły, a najbardziej Hanka. A ładną była i zgrabną, jak kozicka, a potulną, kiej owiecka. Łaziuła wsędzie za nim, kieby ino spojzyć w jego (Franusia) carne ocka, co to były niby toń w Morskiem Oku. Ale Franek ino uganiał po scytach skalnych za kozickami ze scelbą, bo straśnie lubioł scylać. Ło Hance nie myślał, bo mioł jesce cas i młody beł.

Ale roz sie zdarzyło, ze owce wilk rozegnoł na syćkie strony, a Franek zacął ik zganiać do kupy, by nie poginęły, a na wilka się zawziął, ze go musi ubić, jak się to juz roz stało. Więc posed go sukać i znaloz jego legowisko, gdzie były małe. Zabroł małe do worka, by ik w Cornym Stawie potopić, a sam wyspinał sie na smrecka i cekoł na wilka, by go ubić. I przisła ona (wilczyca), ale jakoś rozeźlono, pocęła wyć i wąchać, az jego (Franka) zobacyła na wirsycku, jak kcioł do niej scylać. Wtedy uciekła. A gdy Franek zloz ze smrecka, aby ją gonić, to ona psycajono juz go cup za kark.

I bełoby źle. Ale Hanka juz cekała i z ukrycia zobacyła niescęście. Więc skocyła na wilka z wielkim kamieniem i odrazu go w łeb, i zaroz mu nozem rozpitrasiła brzuch i póty źgała, jaz ześtywnioł. Od tych cas Franus juz innem okiem spozirol na Hankę, az mu się zacęła podobać.

Roz, gdy sie zapędziuł jaz pod samuśką grań za jakimiś lisem, ze ani zocył, jak stanął wele Hanki, co se tu za zielem przysła. I siòd se wele nij, i zacęli godać. Az ją Franuś zapytoł.

— Hanuś! miłujes mię ty? Bo jo jak orzeł inobym kcioł lotać kani po wirchach. Jo by ciebie ni mógł lubieć. Patrz się, Hanuś, jak to słonko sie piknie do nos śmieje, i wnet sie schowo za scyty. Tak samo twoje miłowanie. Rozbłyśnie, jak ta łuna i powoli zacnie blednąc jaz zniknie, jak to słonko. Jo ta wom dziwkom nie dowirzom. Janosicka tak bardzo dziwka miłowała, az go za pańskie dukaty zdradziła i w Liptowie go powiesili. Jo byk cie ta moze lubioł, zebyś mi była wierną.

— Franuś! Jo cie bardzo miłuję. Jo byk z tobą chodziła tam za ceską granicę na pańską zwierzynę polować. Jo byk cie nigdy nie zdradziła. Miłujes mnie Franuś?

— Miłuję cie Hanuś, dej gęby.

Juz ciemno beło, ino gwiozdki migotały na niebie, jak się roześli. A Franek z wielkiego miłowania, jakie się między nimi zawiązało, zacął se śpiwać:

Mom ci jo se Hankę,
piekno to dziewcyna.
Lubioł byk jo brankę,
zeby nie zwierzyna.
Lubioł byk jo ciebie,
zebyś wierną beła.
Całowałbyk ocka twoje,
zebyś ze mną zyła!
Miłujes mię, Hanuś?
Jo ciebie miłuję!
Ze jo ciebie lubię,
Kozdy się zdziwuje!
Nie docekom jo sie tego,
niescęście mię spotko.
Ty nie bedzies o tem wiedzieć,
będzies marzyć słodko.

I sed, śpiwając sobie, az dosed do obory, gdzie owce spały. Nie wiedzioł, a tam juz Jontek cekoł na niego z ciupazką, kiej wróci. A gdy przesed próg obory, to go Jontek bęc ciupagą po głowie. Franuś sie zachwioł, ale nie upod, i skocył Jontkowi do syji i pocął go dusić. A potem go ciupagą po głowie ciupać az dusa z Jontka wyleciała. Bo to Jontek sie kochoł w Hance, lotego ik podpatrzył, jak się z Frankiem miłowali i kcioł Franka sprać i ciupagą posiekać ze zemsty. Ale ze to Franuś gibki beł, to Jontka zabił.

Gdy słonko juz beło wysoko, Hanka przisła do Franka i zobacyła go, jak sie modlił nad trupem Jontka.

— O rety, Franuś, coś ty zrobił! Bidny Jontek o jej! Franuś uciekoj, bo jak cie złapią, to i obwieszą. Zackoj, Franuś, na mnie, jo zaroz wrócę i co mom w chałpie, to zabiere i razem uciekniemy.

I posła. A Franuś cekoł i cekoł, jaz się zdrzymnął. Miesiącek juz był wysoko na niebie i gwiazdki cegoś dziwnie dzisioj mrugały, gdy wele Cornego Stawu jakieś dwa cienie się posuwały, psytuleni do siebie.

— Franuś, jo sie cegoś bardzok boję.

Wtem zaczął głośno krzycec puchac, co to pono od samego djabła pochodzi

— Ej, Hanuś, jakieś niescęście mnie ceko. Cy słysys? To mi źle wrózy.

Juz słonecko beło wysoko, gdy sie ocknęli. Bo spali w jakiejś tam dziurze, co to jesce dawni zbójnicy wykopali. Zeby tylko granice przejść, to juz będzie syćko dobrze.

I śli, a wiecór sie zblizoł i zacęło sie chmurzyć, i jakiś corny obłok wylecioł z za scytów i głuchy huk kejś od ceskiej granicy dawoł poznać, ze bedzie mokwa. Jakoś sie zblizyło i zacęło hucеć, jaz skały jęcały. I naroz sie zachlusło strasną ulewą i straśnie pociemniało. Wleźli do groty, by sie skryć przed burzą i na miękkim mchu posnęli.

Wtem Franuś sie zerwał i pocął wołać:

— Hanuś! gdzie ty jesteś? bo mnie cosik ciągnie, ze musę iść. Jontek! Cegoz ty kces odemnie, jo cie nie kcioł zabić. Jontek! Cy ty zyjes? cy to twój duch mie prześladuje.

I Franuś zobacył Jontka, a on mu kozoł iść za nim het, i Franuś wstoł i posed. A Hankę ostawił, aby sie wyspała, bo zmęcono beła. I Franuś sed — a z nieba sie loło, niby rzyka i ciemno beło. I Franuś sed i sed, bo mu tak duch Jontka kozoł. I zaśli na wielką skałę, a pod nią była wielka przepaść. Jontek skocył, a za nim musioł Franuś, bo go jakieś złe popchnęło i zabił się.

A Hanka spała i o nim marzyła.

Nadesłał *Józef Kunda.*

Walka odyńców.



W naturze wszystkich stworzeń tego świata leży współzawodnictwo o względy rodzaju żeńskiego. — Mężczyzna, człowiek posiadający rozum i silną wolę, używa wszelkich sposobów, aby zwrócić uwagę na siebie płci żeńskiej, aby ją sobą zainteresować i zdobyć wkońcu dla siebie. Ileż to razy zdarza się tak, że żyje sobie we wsi, czy mieście, dziewczę, pracuje, troszczy się o byt codzienny, a w wolnych chwilach rzuca oczkami to w tę, to w ową stronę i czeka bezskutecznie na jakiegoś osobnika płci przeciwnej, aby przecież zwrócił uwagę na nią, ale wszystko na nic. A wreszcie znalazł się ten upragniony! Od tej chwili zmienia się los pomijanej niewiasty. Wśród mężczyzn budzi się zazdrość samcza i około tej tak do niedawna niezauważanej istoty rozpoczyna się walka podjazdowa. Nie potrzeba przytaczać sposobów i sposobików, jakich używają wówczas tacy rywale. Starania ich potęguje może nietyle chęć zdobycia względów danej niewiasty, co wygórowana ambicja.

Jedni, aby pokonać swego rywala, używają do tego pięknych słówek, inni brzęczącej mamony, niezawsze w legalny sposób zdobytej, a jeszcze inni uciekają się do siły, która ma nareszcie pokonać znienawidzonego przeciwnika. Ileż to łbów zostało rozbitych dla pięknych ocząt tej lub owej Ewusi, ile krwi się polało dla pozyskania jednego uśmiechu pięknej Kasi. Nie spisałby tego ani na wołowej skórze. Wszak trzy czwarte pojedynków są spowodowane ubieganiem się o względy niewiast.

Zdawałoby się, że wśród ludzi kulturalnych walka na pięści o względy niewiasty nie powinna mieć miejsca, a przecież istnieje ona od najdawniejszych czasów i zapewne istnieć będzie do końca świata.

Jeżeli więc ludzie uciekają się do tego sposobu zjednywania sobie względów płci przeciwnej, to nie można się dziwić, jeżeli pod tym względem naśladują ich nierozumne zwierzęta. Od lwów, tych królów pustyni, począwszy, a skończywszy na różnobarwnym motylu, walka wśród osobników męskich o istoty płci żeńskiej rozgrywa się niemal bezustannie. Widzimy nieraz koguty na podwórzu, które włóczą się za łby aż do utraty przytomności. Nigdy nie powoduje nimi chęć zdobycia pożywienia, ale zawsze pokonanie przeciwnika, aby go nie dopuścić do upierzonej bogdanki. Motyle nie posiadają ani dziobów i pazurów kogucich, ani kłów lwa, czy tygrysa, lecz mimo to walczą nieraz całemi godzinami o jedną motyliczkę, aby ją zdobyć dla siebie. Krew się tam nie leje, bo motyle krwi nie mają, ran nie ma, bo przeciwnicy nie mają ich czem zadać, lecz niejednokrotnie ten lub ów z takich bojowników ginie z wycieńczenia.

Taką walkę o jedną zwierzęcą „spódniczkę" widzimy na naszym obrazku. W śmiertelnych zapasach ścierają się o nią dwa dorodne i silne odyńce.

Dla nieznających zoologji dodajemy, że odyńcem nazywa się dzik-samiec, podczas gdy samica nosi dostojne miano maciory, a młode dziecięta zowią się warchlakami. Dzik jest zwierzęciem parystokopytnem, nie przeżuwającem, podobnem do naszej świni, która od niego pochodzi. Kły ma potężne, obie pary do góry zwrócone, którymi z łatwością rozpruwa brzuch przeciwnika, jeżeli tylko uda mu się doń dostać. Ciało jego pokrywa sierść czarniawa. Żywi się bukwią, żołędziami, ziemniakami itp., a ryjąc pola, aby je wydobyć, wyrządza nieraz znaczne szkody. Dlatego też tępienie go jest wskazane. Mięso dzika jest podobne do świńskiego, tylko znacznie twardsze.

Jeżeli dwa odyńce spotkają się ze sobą gdzieś w lesie, rozpoczynają ze sobą walkę na śmierć, na życie. Tak długo uderzają na siebie ostrymi kłami, aż jeden z nich nie zbroczy się obficie krwią i nie padnie osłabiony na ziemię. Wówczas zwycięzca od-

chodzi od niego z triumfem i szuka nagrody u tej, dla której zdobycia walczył tak zawzięcie.

I nie można im się dziwić, bo to tylko zwierzęta, które nie mają rozumu.



MACIEK BZDURA GADA:

Z mojom gospodynią to nijak pokurać nie mogę. Widzi mi się, ze oni ni mają termometra, którym bralıby miarę, kiedy co potrza, a kiedy cego nie trzeba. Im wszyćko abo zapóźno, abo za wcześnie. Jeźli mi w brzusysku zrobi się przestrono i przyjdę do gospodyni, aby mi dali co wsunąć do jadacki, to mi powiadają, ze jesce nie połednie, ze jesce za wcześnie na zarcie. Gadam jem, ze przecie juz słonko przesło za łujkową stodołę, a drzewi tak bywało, ze jak słonko tę stodołę przesło, to i połednie było. A na to mi gosposia padają wówcas:

— Jakiś ty, Maciuś, głupi! Taze przecie powinieneś wiedzieć, jako teraz jest zima, więc i słonko lata po niebie, aby się zagrzać, i bez to jest raz tu, a raz tam, ze ani nie wiada, kiedy i jaki cas jest. Przyjdź za godzinkę, to moze się i jakie połednie znajdzie!

Co było robić! Posedem do rąbania drzewa, a kiedy znowu zołądcysko zacynało we mnie gorzkie żale wyśpiewywać, tak idę do gospodyni i powiadam, ze juz chyba musi być połednie, bo mi to o tem najdokładniej moje niescęśliwe kiscątka oznajmiają.

A gosposia mi na to:

— Jakiś ty durny, Maciuś, taze popatrz, ze juz zapóźno. Słonecko wnet się za góreckę schowa i ani się obejrzys, jak wiecór będzie, jakbyś się teraz naćkał, toby ci wiecerza nie smakowała.

Co prawda, to prawda, bo jagem pojrzał na niebo, tom zuźrał, ze rzeczywiście słonecko juz się oboma rękami o góreckę opirało i zaraz miało się schować za dworską sośninę. Trzeba było cekać do prawdziwego wiecora, w który juz gosposia nie będą się słoneckiem zasłaniać, ale dadzą jaki taki futrunek dla bezrobotnego żołondcyska.

I nadsedł tak od rana ocekiwany wiecór. Walę ja prosto do gospodyni z nadzieją, ze się juz teraz słoneckiem nie wycyganią i dadzą cojnieco oblizać, aby wnętrzności moje nie wycyniały juz dłużej takich żałosnych lamentacyj. Powiadam jem więc, aby przecie zważyli, ze tak dalej być nie moze i ze co się patrzy, to się patrzy.

— A ty, heretyku piesecki! — powiadają mi gospodyni. — A cyze ty nie wies, ze teraz jest święty pust, to się ino raz na dzień jada. A cyześ ty widział, aby się jaki ućciwy katolik na noc w świętem poście zarciem opychał. Powiadam ci, ze ciebie zywcem djabli do piekła wezmą, jak się nie poprawis!

— To ja wiem, gosposieńku, bo jegomość to powiadali, ze w poście mozna jeść raz na dzień, ale dodawali do tego: do syta, a ja nie jem ani raz na dzień do syta. I bez to widzi mi się, ze łamię przykazanie jegomościowe i ze piekło mi się należy. Ale co ja tu winien? Jak juz trzeba będzie iść do piekła, to chyba pójdziewa oboje. Ja za to, ze nie jem ani razu na dzień do syta, a wy za to, ze mi tego jedzenia dać nie chcecie. Zreśtą nie wiadomo, cy cłekowi nawet w piekle będzie gorzej, jak u takiej gosposi, jaką wy jesteście.

Rozeźlili się moja gosposia na mnie za takie powiedzenie i kazali mi się cemduchu do stajni z izby wynosić, abym ich nie wywodził na pokusenie.

Posedem i tak se pomyślałem, ze w niedzielę w kościółku trzeba będzie Pana Jezusa o dwie rzecy prosić, o jedną na teraz, a o drugą na po śmierci. Na teraz dobrzeby było, aby Poniezus przeniósł post z zimy na lato, albo na jesień. W lecie są grzyby, jagody i inne do jedzenia stworzenia, toby cłek nie patrzył na litosierdzie bylejakiej gospodyni, ale gdyby było potrza, toby se poza chałpą pojadł choć raz na dzień do syta i nie obrazałby Pana Boga głodzeniem się. W jesieni wsunąłby se piecoąnych zimniocków i miałby raj na ziemi. A na po śmierci, to ja tam przecie Panu Jezusowi nie będę nakazywał, gdzie mnie ma umieścić, ale będę Go prosił, ze gdziekolwiek mnie przeznacy, cy do nieba, cy do cyśćca, cy nawet do piekła, to wola Jego święta, ale będę zendolił u Niego, aby tam, gdzie ja będę, nie było starych gosposiów, ino młode, albo choćby zgoła same dziewice. Bo wiadomo, ze kuzda dziewucha, jak ino zuźry jakiego śturkaca, to zapomina o wszyćkiem la siebie samej, a chłopacyskowi dałaby z rozkosą, gdzie tylko i jakby mogła. A jesce lepsiejse pod tym względem są młode mężatki. — Wiadomo przecie, ze niejedna z nich zapomina nieraz o własnym chłopie, ale do obcego do jaze się porywa. Znacie przecie wszyscy Kaśkę Podkułkową i wiecie, ze ona dla swego rodzącego chłopa, to ma ino zimniacki i barscyk, cy to zimą, cy latem, ale Walkowi Franaskowi, Jaśkowi Mikrutowi, Bartkowi Podlizajce, Staskowi Ciućmakowi i wszyćkiem inksem chłopakom to wiecorem wynosi i syr, i kiełbasę, i jajka na twardo za strykową stodołę i nie tylko jem to wszyćko ze scyrego serca ochwiaruje, ale jesce ich po gębach całuje, aby nie gardzili darami Boskiemi, ale je na własny pożytek spożywali. Z moją gospodynią to tak nie idzie, oniby zezarli i za siebie, i za gospodarza, i za Kaśkę, i za mnie, i za całą parafiję i jesceby jem mało było. Kaśka nie da se krzywdy zrobić, bo jak doji krowy, to chlapnie mlika, jak gotuje zimniacki paciukom, to jem tego i owego uscknie, ale gorzej jest ze mną i z gospodarzem. Jak się gospodarz upominają o jedzenie, to gosposia jem powiadają: „Idź, staruśku, spać, idź, a ja tam zapóźniej do ciebie przyjdę!" a mnie wyganiają do stajni i ani przyjść zapóźniej nie obiecują.

Nawet śmiertelnemu wrogowi takiej gospodyni nie życę, jaką mnie w tem zyciu docesnem Poniezus obdarzył. Moze być, ze mi to choć na tamtym świecie wynadgrodzi, bo pono zadne cirpienie bez wynagrodzenia nie pozostanie.

Podróż po dalekich krajach.

Joruba IV.

Do osobliwości w krainie Joruba należy wielka skała Ado, którą widzimy na naszym pierwszym obrazku. O podróży na tę skałę opowiada pewien misjonarz, który w towarzystwie swych kolegów postanowił ją zwiedzić. W niektórych miejscach ścieżka jest znośna — pisze on — ale posiada tak wiele zakrętów, skał granitowych, nieociosanych kloców, leżących na ziemi, spadzistości i wzgórz, że pochód jest wielce utrudniony. Jednakowoż okolica nadzwyczaj jest urozmaicona: głębokie parowy, niezmierzone płaszczyzny, skaliste szczyty, otoczone gdzieniegdzie drzewami, zdobiącemi ten obraz. Krzewy, które zdawały się być spalone, po miesiącu odmładzają się, obiecując na wiosnę świetne życie. Nareszcie ukazuje się wielka skała Ado, zarysowując już w oddali swoje olbrzymie rozmiary. Od strony północnej otoczona wielkiemi, pojedyńczemi skałami, które tworzą wąskie, lecz głębokie doliny, nadzwyczaj malownicze. U stóp tej skały znajduje się wioska o kilkudziesięciu domach. Powiedziano nam tam, że na dziewięćset stóp wysokim szczycie mieszkają ludzie. Nie chcieliśmy wierzyć, bo co można robić na wierzchhołku nieurodzajnej skały; ale postanowiliśmy się o tem przekonać. Puszczamy się więc drogą kamienistą, zarzuconą ruchomemi złomami granitu, które utrudniają przejście; następnie bez wahania wspinamy się na samą skałę po bokach, po których noga czarnego wyżłobiła ścieżkę. Spadzistość była nagła, słońce ogromnie paliło, żadnej roślinności; gdzieniegdzie tylko wywrócone kloce. Na pierwszym szczycie nie napotkaliśmy nic, godnego uwagi. Drapiemy się więc na drugi i tu ku naszemu największemu zdziwieniu znajdujemy wioskę z 40 domów złożoną, zupełnie ukrytą w zagłębieniu skały. Chaty są ulepione z gliny, znajdującej się w samej wiosce. Kilka karłowatych drzew, zasadzonych na małych placach publicznych, nęci swoim miłym cieniem zmęczonych, lub leniwych. Zarośli dużo, więc kozy i owce mają trawy i ostu poddostatkiem. Objaśniono nas, że król przebywa w następnej wiosce, położonej jeszcze wyżej. Trzeba zaznaczyć, iż niemal każda wioska ma swojego króla.

Pniemy się więc jeszcze wyżej i dostajemy się wreszcie na najwyższą skałę. Oczom naszym przedstawia się gruby pokład gliny na skale, a przytem zielony trawnik, drzewa, krzewy, znaczna ilość owiec,



Wielka skała Ado w Jorubie.

kóz, kur, gołębi, a nawet mały konik. Niczego więc nie brakuje tym szczęśliwym góralom.

Z wierzchołka tego niezrównanego w całej Jorubie obserwatorjum dostrzegliśmy z łatwością miasta: Isehin, Ogo, z północy zaś i zachodu niezmierzone płaszczyzny. Z południa krajobraz daleko więcej jest urozmaicony: szczyty, wzgórza i t. d., ale ani jednej większej rzeki, którąby kraj wzbogacała. Wielka ilość strumyków, wzbierających nagle, ale jeszcze prędzej wysychających. Jedynie rzeka Ogun ma przez cały rok wodę, płynącą po kamienistem łożysku.

Oprócz wiosek niewielkich, rozrzuconych po olbrzymich przestrzeniach, są w Afryce i wcale pokaźne miasta. Do takich należy miasto Ogbomacho. Liczy ono przeszło 30.000 mieszkańców, którzy trudnią się rolnictwem. Obejmuje znaczną przestrzeń, a otoczone jest silnym, dobrze utrzymanym murem. Główną ozdobą miasta jest las, dobrze zasadzony pięknemi drzewami; są to prawdziwe olbrzymy. Ten las w środku miasta obejmuje kilometr kwadratowy przestrzeni.

Jak głosi podanie, miasto powstało z nagromadzonych wiosek, posiadających własny samorząd w sprawach prywatnych. O rozmiarach jego świadczy fakt, że aby je przejechać od bramy do bramy na dobrym wierzchowcu, trzeba na to trzy kwadranse czasu. W wielu miejscach trzeba wspinać się na wyżyny, z których widok jest bardzo urozmaicony.

Ogbomacho posiada najwspanialszą świątynię w całej Jorubie; niska brama, okryta płaskorzeźbami, nadaje jej cechę odrębną; galerja 20 do 30 stóp długa, gromadzi pobożnych; zbudowana na dwunastu kolumnach, na których z pracą niemałą wyciosano olbrzymich bożków. Między innemi widać tu kobietę, karmiącą dziecko, które pokazuje



Okolica miasta Ogbomacho.

zęby, a przy niej rycerz na koniu; wierzchowiec doskonale udany, a wszystko wyciosane z jednego kloca. Opodal znowu silna murzynka karmi dwoje bliźniąt. Wszystkie te bałwany pomalowane są na biało, żółto, czerwono lub różowo.

Okolica Ogbomachy jest wcale urocza, jak to widzimy na naszym drugim obrazku. Widać na nim mury, otaczające miasto, wśród których widnieją oryginalne budowle, a poza murami rozległe pastwisko z krówkami, owieczkami i ich czarnymi pasterzami. Jest tam i stawek, w którym spragnione bydlątka mogą się ochłodzić i napić wody do syta.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

VI.

Dalsze ślady.

Obudziło go prześliczne słońce, które wdarło się do pokoju po podniesieniu stor przez służącego. Rzucił okiem na wspaniały krajobraz, widziany przez okno, duchem jednak i myślami był przy śnie.

— Tak i tu musi być jakaś łączność — zgodził się wkońcu, wstając z łóżka.

Rozejrzał się po bogato umeblowanym pokoju, który w potokach słońca wyglądał jeszcze wspanialej i porównał go z swoją pyjamą. Na tle otoczenia wydała mu się mizerną szmatą tak, że wstydził się jej. Nie przyszło mu jednak na myśl, by zazdrościć hrabiemu olbrzymich dostatków.

— Jemu Bóg szczęściem uścielił drogę życia, mnie może czem innem obdarzy — pomyślał. — Gdybym nawet miał wybierać między moją skromną egzystencją, a jego wystawnością — zdecydowałbym się na to pierwsze, bo wiem, że bogactwa rozleniwiają człowieka, a ja tego nie pragnę.

Kiedy się umył i zjadł śniadanie, usłyszał pukanie:

Był to lekarz domowy hrabiego. Przywitał Brutanka serdecznie, wyrażając radość, iż wreszcie znalazł się lekarz, który ma nadzieję znalezienia źródła choroby i wyleczenia hrabianki.

— Wszyscy jesteśmy tą chorobą wytrąceni z równowagi, — zwierzał się, patrząc badawczo na Brutanka.

Chciał widocznie wyczytać z jego twarzy, czy ma do czynienia z człowiekiem, pragnącym przez łudzenie hrabiostwa, zdobyć bogate wynagrodzenie, czy też naprawdę doskonałym specjalistą.

Ocena wypadła dodatnio, gdyż po chwili stał się wobec niego zupełnie szczerym i wylanym. Nie wiele starszy od Brutanka, przystojny, mądrem a przenikliwem spojrzeniem, rozumną rozmową, wykazał wobec niego głęboką inteligencję. Rozmawiał po niemiecku, ale brakowało mu wielu trudniejszych i dobitniejszych określeń, które uzupełniał słowami węgierskiemi.

— Naprawdę jestem zadowolony z pańskiego przybycia, gdy ta choroba nie daje mi spokoju — ciągnął — odnoszę wrażenie, jakby hrabianka była przez wyższe siły skazaną na powolną śmierć. W tym wypadku wiedza lekarska jest bezsilna. Źródło choroby, a głównie przyczyny nie znajdują się w niej.

— I ja mam podobne przekonanie, — odrzekł Brutanek. — Słusznie pan kolega zauważył. Źródło choroby jest poza nią.

— Może pan kolega uda się ze mną do jej pokoju? — zaproponował lekarz Lassonyi, gdyż tak się nazywał. Będzie pan miał sposobność zaobserwować pewne zjawisko, które wydawać się może zupełnie naturalnem przy jej wycieńczeniu, ale jest tak przeraźliwe, że patrzącego grozą przejmuje.

W pokoju hrabianki zastali dwie pielęgniarki; ona sama spała. Kiedy Brutanek podszedł do łóżka, zauważył na twarzy chorej olbrzymie krople potu. Oczy jej szeroko otwarte o szklannym wyrazie, patrzyły w stronę południową. Bladością swoją, bezwładnością nasuwała myśl, że dusza jej daleką była w tej chwili od ciała. Przerażony widokiem miał zamiar krzyknąć: „Umiera!“ Lekarz Lassonyi powstrzymał go jednak, mówiąc:

— Na nic się zda krzyk pański. Jej nic teraz nie obudzi. Dopiero koło godziny jedenastej przyjdzie do siebie. Niech pan jednak spojrzy na pierś.

Pierś jej spokojnie i normalnie się podnosiła — zatem żyła — doszedł do przekonania.

— Otóż to jest zjawisko, o którem panu koledze mówiłem — ciągnął dalej Lassonyi.

Hrabiostwa w tym czasie nie wpuszczam do pokoju — nie chcąc ich przestraszać. Raz zdarzyło się bowiem, iż matka niespostrzeżenie weszła. Na widok córki zemdlała. Sen ten trwa 12 godzin. Rozpoczyna się przed godziną jedenastą w nocy, a kończy o tym samym czasie przed południem. Nic i nikt nie jest w stanie jej obudzić, — rzekłbyś umarła.

— Trzebaby próbować przerywać go — rzekł Brutanek.

— Starałem się, jednak wszystkie usiłowania zawiodły. Może się pewnego dnia zeń nie obudzić. — wyraził obawę. Podobnego nabrałem przekonania, tembardziej, że w miarę jak sił jej ubywa, staje się on mocniejszym.

Z dziwnem ściśnięciem serca obserwował Brutanek śpiącą hrabiankę. Wydawało mu się, jakoby widział w niej niezwykle bliską i drogą istotę, — nic więc dziwnego, że za wszelką cenę pragnął ją wyrwać śmierci.

— Szkoda dziewczęcia — wyrzekł głośno.

— Szkoda, — potwierdził lekarz Lassonyi. — Wiem, że jest dobrą, szlachetną i nad wyraz smutną. Od szeregu lat jestem ich domowym lekarzem. A jednak nie zaobserwowałem na jej twarzy najmniejszego uśmiechu. Ona go poprostu nie rozumie i nie wyobraża sobie, jak ktoś odpowiednim grymasem twarzy — może wesołość okazywać.

— Jakżeż w takim razie mogła być aktorką? — zapytał Brutanek.

— Przecież ona nie... zaczął lekarz Lassonyi, lecz przerwał w porę, połapawszy się.

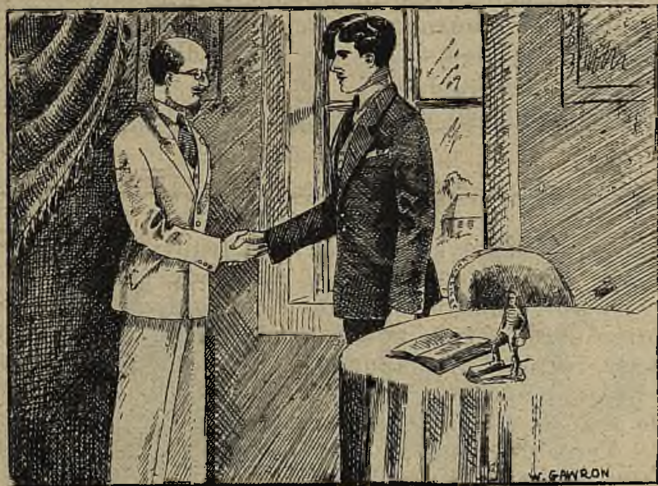
— Ależ? — zdziwił się Brutanek. — Przecież rodzice i ona to potwierdzili, a nadto sam w dziennikach paryskich czytałem o jej zniknięciu.

Widocznem było, że lekarz Lassonyi nie chciał tego tematu przeciągać, bo skierował rozmowę na inne tory.

— W jaki sposób zamyśla pan odkryć źródło i przyczynę choroby? — zapytał.

— Ja dzisiaj sam jeszcze nie wiem — odrzekł Brutanek. — Krążę bowiem koło kłębka, ale nici przewodniej uchwycić nie mogę.

— Powiedz mi pan — próbował go zaskoczyć, przypomniawszy sobie fotografje z medaljonu topielicy, czy hrabianka Marta miała siostrę Różę?



Był to lekarz domowy hrabiego...

— Nie — zaprzeczył stanowczo. — Zresztą proszę w tej sprawie ze mną nie rozmawiać. Jest to tajemnica rodzinna hrabiego. Istnieje zakaz w tym kierunku i muszę się do niego dostosować. Proszę się udać do samego hrabiego po informacje, ja mówić nie mogę!

Zaledwie wyrzekł ostatnie słowa, odwołano go do jakiegoś chorego z grona służby, a lekarz Brutanek pozostał sam w pokoju hrabianki ze swemi myślami. Omotały go teraz rojem.

— A więc hrabianka miała sobowtóra, o którego istnieniu wiedziała nietylko rodzina hrabiego, ale wszyscy w zamku? Dlaczego trzymają to w takiej tajemnicy? — myślał, patrząc na śpiącą. — Jestem zatem na tropie, tylko trudno mi będzie dociec zagadki.

Przypomniał sobie monogramy na bieliźnie i torebce i rozmawiał dalej ze sobą. Wezwał do siebie pielęgniarki, chcąc się od nich czegoś dowiedzieć. Znały jednak tylko język węgierski, którego on nie rozumiał i musiał zaniechać badania.

Dwie godziny siedział przy łóżku hrabianki, nim wreszcie się ocknęła. Obserwował ją szczegółowo. Martwe oczy ożywiały się i jakby na wezwanie odżywczych promieni słońca nabywały życia i przytomności.

Bystro, a zarazem z uśmiechem spojrzała na Brutanka. Wyciągnęła do niego blade ręce i rzekła niemal te same słowa co i poprzedniego dnia przy powitaniu.

— Widzę w panu kogoś bardzo drogiego i bliskiego.

Chciała widocznie usprawiedliwić swoją serdeczną poufałość.

— Czy długo spałam? — spytała.

Skinął głową.

— Wielki ze mnie śpioch, ale to już nie moja wina, jeno choroby. Teraz chciałabym jeść i to jak najwięcej — zwróciła się do pielęgniarek po węgiersku — tłumacząc jednocześnie te same słowa na język francuski.

— Niech mi pani wyjaśni, co dotąd pozwolono jej jeść? Chciałbym spełnić życzenie, lecz równocześnie muszę wiedzieć, jak bardzo wycieńczono pani żołądek.

Przyznała się, iż żywiono ją kaszkami, kleikami, mlekiem, jajkami, które dla monotonności obrzydły jej zupełnie.

— Nie mogłam ich jeść — zwierzała się — i nieraz prosiłam o mięsne potrawy, ale mi odmawiano.

— Zaczniemy dzisiaj od cielęcinki — roześmiał się. — Proszę powiedzieć pielęgniarkom, by z tego mięsa przygotowały pieczeń.

Kiedy odeszły, spytał, czy nawiedzają ją sny w czasie długiego odpoczynku ciała.

— Czy ja wiem, jak to nazwać? — przyznała się. — Przed chorobą inaczej się czułam w czasie snu, niż obecnie. Odnoszę wrażenie, że się przenoszę w inny świat, inne życie. Nie mogę panu bliżej tych widzeń określić, gdyż z chwilą przebudzenia, pamięć o nich zanika. Wiem tylko tyle, że w świecie owym jest mi niedobrze, że krążę wśród jakichś mar, że mię tam ogrania wielka tęsknota za czemś nieuchwytnem.

Równocześnie ze śniadaniem zjawili się w jej pokoju rodzice. Powitawszy lekarza, zapytali córkę o stan zdrowia.

— Czy ja wiem? Taki sam, jak wczoraj. Cieszę się tylko, iż pan doktor pozwoli mi najeść się do syta.

— Dzisiaj jeszcze nie — zaprzeczył. — Żołądek pani jest wyczerpany długim postem, musimy go powoli przyzwyczajać. Ale za trzy dni będzie pani mogła dysponować, co zechce.

— Proszę córce nie skąpić ani win, ani też koniaków — zwrócił się do hrabiostwa.

— Jak tylko pan doktor pozwala!

Hrabianka Marta klasnęła rękoma z radości, iż jej aż tyle będzie wolno.

Rodzice wraz z doktorem przebywali w pokoju chorej, dopóki służba nie doniosła o podaniu obiadu na stół. Prosząc Brutanka, przeszli do jadalni. Przy spożywaniu potraw toczyła się rozmowa. W toku jej hrabina spytała nieśmiało Brutanka, do jakiej należy narodowości. Uderzyło ją bowiem, usprawiedliwiała się, iż na bilecie wizytowym wyczytała „Brutanek". O ile zaś pamięta nazwiska francuskie, mają inne brzmienie, a przedewszystkiem język ich unika „k" zastępując go literą „c".

— Ach tak, — roześmiał się lekarz. — Winę w tym wypadku ponosi francuska drukarnia. Właściwe moje nazwisko brzmi „Brutanek". Potrzebując pilnie biletów wizytowych, nie zwróciłem uwagi na ten błąd. Jestem Polakiem, pochodzę z Myślenic.

— Tak, odezwała się hrabina radośnie; używając tym razem polskiego języka. Czemuż nam pan doktor zaraz tego nie powiedział.

Z kolei Brutanek zdziwił się niezmiernie, tembardziej, że i hrabia wtrącił pospiesznie kilka zdań polskich.

— Ja również jestem Polką, — wyjaśniła hrabina. — Tak córka jak i najbliższa służba używa mojego ojczystego języka. I mąż z miłości do mnie nauczył się poprawnie mówić po polsku.

Przy tych słowach spojrzała serdecznie na hrabiego.

— Pochodzę z sąsiedniego powiatu nowotarskiego, z hrabiowskiego rodu Konopackich. Mąż poznał

mię, odbywając manewry w moich rodzinnych stronach.

Jak Brutanek zauważył, po wypowiedzeniu ostatniego zdania — posmutniała.

— Dawne to jednak dzieje — westchnęła. — 22 lat bowiem upłynęło od naszego pobrania się.

— Miło mi zatem, że goszczę rodaka w swoim domu — powróciła do poprzedniego tematu.

Zaraz po obiedzie zaproponowała Brutankowi udanie się do hrabianki. Przedstawiła go jej jako Polaka. Marta niemniej była ucieszona, wyrażała radość w czystym polskim języku.

— Ma pan możność przekonania się — oświadczyła hrabina, — że nie pozwoliłam jedynaczce na zaniedbanie języka rodzinnego.

Jak się później przekonał, stary kamerdyner, który go pierwszy powitał, był również Polakiem, zabranym z rodzinnego domu hrabiny. Nadto wiele służby pochodziło z powiatu nowotarskiego. Nawet i lekarz domowy, najwidoczniej z chęci przypodobania się hrabinie, nauczył się polskiej mowy i władał nią wcale poprawnie.

Po dokonaniu niezmiernie pomyślnego odkrycia, hrabina dłuższy czas rozmawiała z Brutankiem, wypytując go o nowiny z Polski. Obszernie jej opowiadał, zważając jednak, by się przypadkiem nie zdradzić, że do statniej chwili ordynował w Myślenicach i wprost stamtąd przyjechał do Debreczyna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomnienia.

Dzień był ponury i dżydżysty Nagi, sterczący szczyt Celonu pokrywała mgła miejscami poszarpana w strzępy niby stara brudna płachta, a przez te postrzępione dziury wyłaniały się nagie, skaliste ramiona.

W onej mgle ukazywały się ustawicznie błyski, po których odzywały się straszne, ponure detonacje, odbijając się echem pomiędzy skałami Wielkiego i Małego Pala i Treikofla, łącząc się, tworzyły jeden ustawiczny grzmot, głuszący przeraźliwy suchy trzask broni ręcznej, oraz grzechot karabinów maszynowych.

Włosi atakowali ogromną siłą lewe ramię Celonu, bronione zażarcie przez austrjacki 20 p. p. złożony z dzielnych górali naszego Podhala. Już od kilku tygodni usiłowali zdobyć ten odcinek, aby doliną Plöcken dostać się na tyły operującym armjom sprzymierzeńców. Pomimo najwyższych wysiłków nie mogli tego dokonać — nie było siły, która mogłaby przełamać bohaterskich obrońców, którzy tu w górach byli jak u siebie w Tatrach.

Ten ostatni atak był ze wszystkich najokropniejszy. Siedziałem na stacji telefonicznej ze słuchawkami na obydwu uszach, odbierałem ustawicznie depesze i rozkazy, wysyłając je zapomocą ordynansów natychmiast, gdzie należało — gdy naraz linja łącząca moją stację z okopami przestała działać. Z początku myśleliśmy, że Włosi dostali się do naszych okopów, lecz za pośrednictwem połączenia z artylerją dowiedzieliśmy się, że linja obronna trzyma się jeszcze, a zatem z pewnością przewody zostały uszkodzone. Zgłosiłem natychmiast usterkę do komendy bataljonu, skąd wysłano ludzi w celu naprawy linji, lecz upłynęła godzina, a połączenie nie zostało przywrócone, co było znakiem, iż wysłani ludzie nie doszli.

Otrzymałem rozkaz wysłania telefonistów ze swej stacji w celu naprawy uszkodzonych przewodów. — Gdy oznajmiłem swym chłopakom o rozkazie — pobledli z przerażenia. Naprawić uszkodzone przewody w czasie ataku — wśród gradu pocisków — oznaczało niechybną śmierć.

Spojrzałem po zbladłych chłopcach — i naraz straciłem odwagę wydania stanowczego rozkazu. — Idź ty, lub ty! — Rozkaz bowiem taki znaczył tyle, co nieubłagany wyrok śmierci. A rozkaz taki nie przecisnął mi się przez gardło, więc zdecydowałem się iść sam.

Szedłem wśród piekielnego świstu i hihotu przelatujących pocisków, przystawając co chwila dla zbadania przewodów, specjalnym, do tego celu służącym aparatem, napotykając obok linji trupy telefonistów, którzy przedemną naprawić przewody usiłowali. — Świst kul wzmagał się, niby osy zjadliwe świszcząc mimo uszu i bzykając gradem, uderzał o wystające skały, rozpryskując kamienie i złomki skał. Szedłem wciąż naprzód, nie myśląc o niczem — pocieszałem się jedynie nadzieją, że jeszcze żyję.

Tymczasem mgła ustąpiła nieco i odsłoniła skaliste ramię, na którem czerniała nasza linja, a Włosi jak koty skradali się ku niej, zasypując ją równocześnie gradem pocisków artyleryjskich oraz min, by utrudnić odstrzeliwanie.

Nasi górale, nie zważając na szalony ogień, z wyraźnym uporem w twarzy odstrzeliwali się i ani myśleli o cofaniu, pomimo, że już około połowa w śnie wiekuistym pogrążona była. Co gdzieś z za załomu skały ukazał się włoski kapelusz z pióropuszem, zapadał natychmiast zmieciony celnym strzałem „Manlichera“.

Nareszcie znalazłem uszkodzenie, spoiłem przewód, założyłem aparat próbny i dałem sygnał: — Hallo! Tu Celon Alpe! słyszę głos w aparacie — Hallo! tu kadet Nowosielski! — odzywa się komendant obrońców odcinka.

— Tu kontrola przewodu, który został naprawiony! — wołam do aparatu.

W tej chwili słyszę świst, szum, hihot piekielny, jak gdyby conajmniej trzystu szatanów zerwało się z uwięzi — okropny, ogłuszający huk, odurzający zapach dymu prochowego dusi mnie — światło dzienne gaśnie w moich oczach jak gdyby wieczorem lampę zgaszono — czuję, że upadam na wznak — lecz ogarnia mnie jakiś błogi spokój. Nie słyszę straszliwego huku, który dopiero co się rozległ — nie czuję bólu ani dominującego przed chwilą chłodu.

— — — — — — — — — — — —

Otwarłem oczy i ze zdziwieniem rozglądnąłem się dokoła. Leżałem na miękko wysłanej pościeli, w ciepłym, przyjemnym pokoju, a nademną stała siostra pielęgniarka.

— Gdzie jestem? — pytam, usiłując się podnieść, lecz nagle uczułem jakby pchnięcie sztyletem w lewem ramieniu.

— Jest pan w szpitalu Czerwonego Krzyża — odrzekła pielęgniarka, pochylając się nademną. — Niech pan leży spokojnie, gdyż pan jest niebezpiecznie ranny. Doktór zakazał się panu poruszać.

— Znaleziono cię bez życia obok naprawionego przewodu po odparciu włoskiego szturmu! — słyszę obok znajomy głos. — Już dwa tygodnie spisz.

Spoglądam, a obok leży plutonowy Turek z okolic Starego Sącza z przewiązaną na temblaku ręką.

Ucieszyłem się niezmiernie, widząc towarzysza w wybornym humorze. Dowiedziałem się od niego, iż obrońców odcinka pozostała zaledwie garstka — lecz gdy wezwana telefonicznie pomoc nadeszła — Włosi musieli się ze wstydem cofnąć, pozostawiając mnóstwo trupów.

Po paru tygodniach, gdy pozdrowiałem nieco, wsadzono mnie do wozu Czerwonego Krzyża i przewieziono do pociągu w Ketrzach, który miał mnie przewieźć w głąb monarchji habsburskiej.

Pogoda była prześliczna. Słońce wyszło na czyściutkie niebo, zlewając na ziemię swe ogniste promienie. Szare, nagie, potężne szczyty Alp piętrzyły się wspaniale, rozkosznie wyglądały zielonymi gajami zasłane doliny, w pośród których piętrzyły się urocze wille, a gdzieniegdzie prosto ku niebu wystrzelały wieżyce gotyckich kościołów.

Przez okno wagonu spojrzałem jeszcze na Celon, by go na zawsze pożegnać. Brudne chmury dymu zalegały szerokie ramiona góry, a pamiętny szczyt dumnie wystrzelał w obłoki.

Pod owym szczytem w mogile z gruzów usypanej śpią moi koledzy, którzy już Polski nigdy nie zobaczą.

„Młot".



Poradnik gospodarczy.

Choroby i leczenie psów.

Prawie przy każdym większym domu na wsi hodują psy, aby strzegły mienia swego pana przed złodziejami. Hodujemy psy i lubimy je, ale jakżeż mało troszczymy się o ich zdrowie. A przecież i psy ulegają rozmaitym chorobom, które wczas leczone dają się usunąć, zaniedbane zaś powodują śmierć zwierzęcia.

Do najgroźniejszych chorób psów należy wścieklizna. Zarazki wścieklizny przenoszone są przez ukąszenie, przyczem objawy choroby bywają mniej, lub więcej gwałtowne.

W pierwszym wypadku, pies staje się melancholijny i bojaźliwy i nie przyjmuje pokarmów, przyczem stan ten trwa do trzech dni, poczem następuje zwykle paraliż. Przy ostrzejszym przebiegu choroby, który w pierwszem stadjum trwa zazwyczaj trzy do czterech dni, psy mają skłonność do ucieczki, oraz kąsania wszystkiego, co napotkają na drodze. Następnie występują objawy paraliżu i wreszcie śmierć. Niestety, dotychczas niema jeszcze lekarstwa przeciw wściekliźnie, dlatego też zwierzę, dotknięte tą chorobą, należy natychmiast zabić, aby nie pokąsało innych.

Drugą, groźną chorobą psów jest nosacizna. — Chorobie tej podlegają szczególnie łatwo rasowe psy młode i słabowite. Objawami charakterystycznemi są: wycieki z nosa, zapalenie oczu, choroby skóry, drgawki i porażenia, obok braku apetytu. Psy, dotknięte chorobą, chodzą zazwyczaj, chwiejąc się, przeważnie leżą, zmieniając ciągle miejsce, szukając raz słońca, to znów cienia. Częstym objawem bywa też krwawa biegunka. Śmiertelność wynosi od 50 do 60 procent.

Skutecznym środkiem jest stosowanie szczepień ochronnych, obok tego, dawanie pokarmów lekko strawnych. Psy chore powinny być od zdrowych oddzielone.

Dość często zapadają też psy na świerzb. Świerzb wywołuje pasorzyt, który drążąc rodzaj korytarzy w skórze, powoduje zapalenie skóry i silne swędzenie. Pojawia się zazwyczaj na grzbiecie, szyi, piersiach lub na ogonie, powodując tworzenie się wilgotnych guziczków, które przeistaczają się następnie w rodzaj wrzodów. Swędzenie potęguje się, gdy psy znajdują się w ciepłem pomieszczeniu. Świerzb jest również zaraźliwy i dla ludzi, leczenie jednak w tym wypadku jest o wiele łatwiejsze. Psy chore na świerzb po ostrzyżeniu ich, o ile są długowłosé, wysmarować należy mydłem dziegciowem i wymyć szczotką, maczaną w ciepłej wodzie, a następnie w trzech partjach natrzeć maścią, składającą się z 2 gr. kreoliny. 2 gr. mydła dziegciowego, 20 gr. spirytusu i 25 gr. maści parafinowej. Miejsca, objęte świerzbem, smaruje się przez dwa dni, następnie przez drugie dwa dni zmywa się całość wodą ciepłą z dodatkiem mydła dziegciowego.

Nużeniec jest pasorzytem skórnym, który żyje w gruczołkach łojowych i włosowych psa, powodując owrzodzenia, ropienia i wypadanie włosów. W przeciwieństwie do świerzbu swędzenie jest nieznaczne, lecz gdy się naciera miejsca, objęte chorobą, wywołuje to ból.

Jako środek zaradczy stosowany bywa balsam peruwiański z dodatkiem jednej trzeciej oliwy lub gliceryny. Leczenie jest wogóle trudne i najlepiej, gdy, podobnie jak świerzb, powierzone zostaje specjaliście.

Zarazie psiej czyli tyfusowi psiemu podlegają przeważnie starsze psy, które stają się smutne, osłabione, zobojętniałe. Przy jednoczesnym braku apetytu i braku gorączki psy dostają wymiotów, a w pysku tworzą się na błonie śluzowej wrzody o wstrętnej woni. Czasami psy dostają też krwawej biegunki. W ciężkich wypadkach po kilku lub kilkunastu dniach, choroba kończy się śmiercią, w lżejszych — po paru tygodniach następuje wyzdrowienie. Leczenie polega na dezynfekowaniu jamy gębowej lekkim roztworem nadmanganianu potasu, do wnętrza zaś daje się kalomel, przy jednoczesnem podawaniu łatwostrawnych i pożywnych pokarmów, obok czego wskazane jest dawanie łyżeczkami wina chinowego lub czerwonego. Choroba należy do poważnych i dlatego opieka weterynarza jest niezbędna.

O innych chorobach psów pomówimy jeszcze w następnym numerze „Roli".

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Przepowiednie pogody na marzec. Pogoda w marcu zapowiada się raczej niżej, aniżeli wyżej przeciętnej średniej temperatury. Liczne opady. Pierwszy przebłysk wiosny przypuszczalnie nastąpi w połowie marca. Około 10 rozpocznie się pogoda chmurna lub mglista i zimna z opadami, poczem nastąpi rozpogodzenie i ocieplenie w dzień. Nocą przymrozki. W końcu drugiej dekady spadek temperatury, wzrost zachmurzenia i większa skłonność do opadów. Wiatry z kierunków zmiennych lub cisza. Koniec miesiąca przyniesie pogodę silnie zmienną lub chmurną i burzliwą. Wzrost, poczem ponowny spadek temperatury. Nocne przymrozki, w dzień stopniowe ocieplanie się Istnieje zwiększone niebezpieczeństwo powodzi, a w górach lawin.

Nadużycia w banku. Policja krakowska przeprowadziła śledztwo w sprawie nadużyć w Banku Współdzielczym Wzajemnej Pomocy w Krakowie przy ul. Basztowej 18. Nadużycia polegały na wyciąganiu od kljentów znacznych sum na koszta pożyczek, których kljenci wkońcu nie otrzymywali, przez co narażeni zostali na wielkie straty. Na ślad nadużyć wpadła policja w następujący sposób: Dnia 15 stycznia br. zgłosił się w wydziale śledczym P.P. w Krakowie Stanisław Jędrzejowski z Myślenic, że w czerwcu 1931 r. na skutek ogłoszeń reklamowych zapisał się na członka do Banku Współdzielczego i wpłacił na koszta 572 zł. z tem, że otrzyma pożyczkę w ciągu 6 tygodni w kwocie 5.000 zł. jednak mimo upływu kilku miesięcy pożyczki nie otrzymał. Na jego nalegania oświadczono mu, że Bank nie ma pieniędzy i zostanie zlikwidowany. W związku z tem policja przeprowadziła dochodzenia, które ustaliły, że w ten sam sposób zostało oszukanych około 500 osób. Stwierdzono, że pieniądze pobrane od kljenteli zarząd Banku a w szczególności dyrektor Lotkowski zużył na wysokie gaże dla siebie i reszty zarządu, na zakupno luksusowego urządzenia, rozjazdy i t. p. Kapitału zakładowego Bank wogóle nie posiadał. Sprawę po przeprowadzonych dochodzeniach skierowano do sędziego śledczego.

Ofiara łowcy posagu. We środę 2 b. m. rozegrała się w realności przy ulicy Władycze 10 w Przemyślu tragedja, która zakończyła się śmiercią młodej dziewczyny. Róża Salik, lat 28, była w ubiegłym roku zaręczona z młodzieńcem, który wyłudził od niej jako zaliczkę na posag 1 500 dolarów i znikł. Obecnie drugi narzeczony, który miał z początkiem tygodnia przyjechać do Przemyśla, rozmyślił się i nie przyjechał. Wedle krążących wersyj miał on również pobrać tytułem zaliczki na posag pewną kwotę od denatki. Nieszczęśliwa, zawiedziona w swoich nadziejach, skorzystała z nieobecności domowników i powiesiła się na ręczniku, zamknąwszy przedtem drzwi. Gdy otworzono drzwi, znaleziono już zimne zwłoki Salikówny.

Znaczna kradzież we Lwowie. W oddziale Banku gospodarstwa krajowego we Lwowie popełniona została zuchwałą kradzież. Nieznany sprawca, korzystając z chwilowej nieuwagi kasjera, skradł z otwartej kasetki podręcznej 2.000 dolarów i zanim się spostrzeżono zbiegł. Zaalarmowano policję, która szuka śmiałego rzezimieszka.

Uparty samobójca. Do hotelu Boulevard we Lwowie przybył 25 letni Marjan Lis z Krzywczyc koło Lwowa. Tu powziął zamiar pozbawienia się życia. W tym celu założył sznur na haku od lampy, poczem włożył szyję w pętlicę i odsunął z pod nóg krzesło. Tymczasem hak nie wytrzymał ciężaru, lecz wyrwał się z sufitu, a desperat runął na ziemię. To niepowodzenie bynajmniej nie zniechęciło go do samobójstwa, albowiem natychmiast z prześcieradła zrobił nową pętlicę, którą tym razem zawiesił na drzwiach i tym razem już udusił się ostatecznie. W pozostawionym liście na stole podał jako powód niesnaski rodzinne, a mianowicie nie mógł on się pogodzić z ojcem, który nie chciał mu dać żadnych pieniędzy.

Sen staruszka. W Winnikach pod Lwowem śpi już od kilku dni stuletni starzec Lejzor Wigdorowicz. Przed tygodniem wypił on trochę mleka i zjadł bułkę, poczem ułożył się do snu i już przez ośm dni z niego się nie przebudza, przyczem oddycha zupełnie normalnie.

Kara za dawną zbrodnię. Z Czortkowa donoszą: Sąd przysięgłych w Czortkowie skazał Karola Zielonego z Białej na karę śmierci przez powieszenie, zamienionej na 15 lat więzienia wskutek amnestji za zamordowanie swojej żony przed 10 laty. W r. 1920 ożenił się Zielony, a kiedy poznał się z młodszą ładną dziewczyną Marczakówną, zawiązał z nią bliższy stosunek i postanowił swojej żony się pozbyć. Maltretował ją, aż wreszcie wykorzystał moment, kiedy żona doiła krowę i kilkoma uderzeniami w głowę pozbawił ją życia. Dla upozorowania nieszczęśliwego wypadku zawlókł ciało zamordowanej pod nogi krowy, która kopiąc, pozostawiła na ciele liczne ślady. Policja uwierzyła zeznaniom mordercy, że w tych okolicznościach zgon nastąpił i śledztwo umorzono. Po latach zaczęły się rozchodzić głuche wieści o zamordowaniu żony Zielonego. Dochodzenia wznowiono, przeprowadzono ekshumację zwłok i na rozprawie winę Zielonemu udowodniono, co spowodowało zasądzenie.

Wyjazd marszałka Piłsudskiego do Egiptu. We wtorek dnia 1 b. m. marszałek Piłsudski wyjechał na odpoczynek do Egiptu.

Wystąpienie ze Stronnictwa ludowego. Poseł Fidelus z okręgu Biała Żywiec, wystąpił ze Stronnictwa ludowego. Według pogłosek, wszyscy dotychczasowi secesjoniści z tego klubu (Michałkiewicz, Kulisiewicz) utworzą oddzielny klub.

Tragedja małżeńska. W Warszawie do mieszkania Emilji Morenowiczowej przybył separowany jej małżonej i 4 strzałami z rewolweru położył ją trupem na miejscu. Powodem tego kroku było nakłanianie syna, aby nie widywał się z ojcem, gdyż tenże źle się prowadzi. Zabójca po dokonaniu czynu zabrał syna i samochodem odjechał do swego mieszkania. Policja aresztowała zabójcę.

Lekarz oszustem. W Łodzi wywołało ogólną sensację aresztowanie znanego na tamtejszym bruku lekarza Dra Starkera. Dokonał on mianowicie na terenie Łodzi całego szeregu afer, między innemi wekslowych, matrymonjalnych, zaciągnął poważne długi, których nie płacił i t. p. Ponadto poszkodował cały szereg aptek, z których brał lekarstwa i nie pokrywał za nie należności. Dr. Starker kilkakrotnie zaręczał się, brał zaliczki na posag, jednakowoż nigdy swoich planów matrymonjalnych nie realizował. W wyniku przeprowadzonych przez władze policyjne dochodzeń, Dr. Starker został aresztowany. Jednocześnie został on przez Izbę lekarską zawieszony w czynnościach i nie ma prawa odbywania praktyki lekarskiej aż do czasu wyroku sądowego.

Bandytka przed sądem. W dniu 13 b. m. zasiędzie na ławie oskarżonych w Łodzi pierwsza kobieta w Polsce, oskarżona o dokonanie napadu rabunkowego. Jest nią 38 letnia Helena Stójkowska ze wsi Marcewiny w powiecie łowickim, która weszła do mieszkania Franciszki Czernik w Łodzi, jako żebraczka, i uderzyła leżącą w łóżku chorą Czernikową młotkiem w głowę, zadając jej liczne rany, poczem chciała obrabować mie-

szkanie. Przeszkodzono jej jednak w tem i oddano w ręce władz.

Obrabowanie sądu. Do sądu w Kaliszu włamali się bandyci, którzy rozpruwszy kasę, zabrali z niej 550 złotych i zbiegli. Za złoczyńcami zorganizowano pościg, ale ich dotychczas nie ujęto.

Straszny czyn furjata. Icek Kura, zamieszkały przy ulicy Sukienniczej w Kaliszu, w przystępie szału usiłował zamordować swoich dwoje dzieci. Przeszkodziła mu w tem żona jego Chaja, która Kurę wyprowadziła na korytarz. Wtem furjat chwycił siekierę i zaczął nią zadawać ciosy żonie, odrębując jej głowę. Należy zaznaczyć, że przed dwoma laty Kura usiłował już raz zamordować swą żonę, która uratowała się przed zamachem szaleńca, wyskakując na bruk z pierwszego piętra.

Zamach samobójczy dziecka. W Zaborowie, w Wielkopolsce, sześcioletnia dziewczynka, nazwiskiem Marja Celińska, oblała się naftą i podpaliła. Nieszczęśliwemu wypadkowi zdołano jednak na czas przeszkodzić. Zapytana przez rodziców, dlaczego to uczyniła, odpowiedziała, że się jej już życie sprzykrzyło.

Niespodzianka na łące. W okolicach Michala i Nowego w powiecie święciańskim od dłuższego czasu grasowała dobrze zorganizowana szajka złodziejska. Ostatnią ich kradzieżą była kradzież w Mątawach. Ktoś policję uprzedził, że chcą się tam bandyci włamać do mleczarni niejakiego Diethelma. Jeden z policjantów podszedł pod dom, aby spłoszyć opryszków, co się mu też udało w zupełności. Bandyci w liczbie czterech rzucili się do ucieczki w kierunku przeciwnym temu, skąd zjawił się policjant. Uciekając, ostrzeliwali się gęsto, ale policjant nie spieszył się zbytnio z pościgiem. Bandyci uszli na łączkę i czuli się już bezpieczni, gdy wtem najniespodziewaniej z zarośli wyłonił się oddział policjantów, który tam już od początku oczekiwał. Ujęto wszystkich czterech i odstawiono do więzienia. Wydali oni jeszcze dalszych sześciu członków bandy, którzy również znaleźli się pod kluczem.

Bohaterski czyn młodzieńca. W Powidzu na Pomorzu wpadł pod lód, w odległości około 100 metrów od brzegu, 18-letni Władysław Dobrasz. Licznie zebrana publiczność nad brzegiem przypatrywała się bezczynnie śmiertelnej walce tonącego, trwającej już blisko pół godziny, lecz nikt nie odważył się wejść na kruchy lód. Wreszcie wyskoczył z tłumu 18 letni Sylwester Szeszycki, który, czołgając się po lodzie, dotarł do tonącego i przy pomocy płaszcza wydobył go z wody.

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne. Mieszkańcy Zamościa byli w ubiegłym tygodniu świadkami niezwykłego zjawiska atmosferycznego. Widziano tam na niebie trzy tęcze i tak jakby cztery słońca, z których dwa widoczne były zupełnie wyraźnie na wschód od Zamościa, dwa zaś mniej wyraźne widzialne były: jedno na północy, drugie na południu.

Tragedja. Jan Nawrocki z Okiennic Górnych w powiecie krasnostawskim zakochał się w 18 letniej Antoninie Krupównej, córce gospodarza w Nowej wsi. Rodzice skłonili jednakże swą córkę, by zaręczyła się ze znacznie starszym od niej, bo 40-letnim wdowcem. Gdy się o tem Nawrocki dowiedział, udał się do ukochanej, aby ją nakłonić do zerwania z owym wdowcem. Widocznie dziewczyna nie chciała posłuchać próśb młodzieńca, gdyż ten wyjął rewolwer i wystrzelił, raniąc Krupównę w szyję i w głowę. Na widok padającej dziewczyny ogarnęła go trwoga, począł więc uciekać. Za uciekającym rzucili się sąsiedzi Krupównej, chcąc Nawrockiego zabić. Ten jednakże w ostatniej chwili zdołał dopaść swego mieszkania i zatarasować się w niem. Wieśniacy rozpoczęli jednak formalne oblężenie. Nawrocki, widząc, iż tłum coraz bardziej napiera i drzwi zaczynają ustępować, nie chcąc wpaść w ręce wzburzonego tłumu, wystrzałem w usta pozbawił się życia.

Wybuch granatu na jeziorze. Na jeziorze Bolki na Wileńszczyźnie kilku parobków wyrąbało przyręble i granatami głuszyło ryby. W czasie tego jeden z granatów wybuchł tak nieszczęśliwie, iż odłamkami swymi ranił ciężko trzech parobków. Jeden z nich zmarł w drodze do szpitala, dwaj inni walczą tam ze śmiercią.

Pod grozą brzytwy. Do mieszkania emigrantki rosyjskiej, Klaudji Rezencow, w Wilnie wdarło się trzech zamaskowanych bandytów, którzy pod grozą śmierci zażądali wydania pieniędzy. Gdy Rezencowa odmówiła, napastnicy skrępowali ją powrozami, a następnie przesuwali brzytwą nieszczęśliwej kobiecie po gardle, grożąc poderżnięciem jej gardła. Z przestrachu kobieta wskazała miejsce, gdzie ukryte były pieniądze. W wydrążonej nodze u łóżka znajdowało się 1.500 rubli w złocie i większa ilość kosztowności. Bandyci poczęli wysypywać pieniądze. W tym czasie do mieszkania zapukała stróżka. Spłoszeni bandyci, nie zdoławszy zabrać wszystkich pieniędzy i kosztowności, zbiegli.

Krwawe demonstracje w Rydze. Komuniści urządzili w ubiegły czwartek w Rydze tak zwany „Pochód głodnych". Rano bezrobotni pod wodzą komunistów zebrali się na przedmieściach i stamtąd pochodem ruszyli do centrum miasta przed gmach sejmu i przed giełdę pracy. W czasie pochodu zastąpiła idącym drogę policja i wezwała do rozejścia się. Komuniści zaczęli atakować policję, wobec tego policja dała w tłum salwę, przyczem jeden z komunistów został ciężko ranny. Po strzałach demonstranci rozprószyli się.

Próba przewrotu w Finlandji. W ubiegłym tygodniu próbowali Lappowcy, to jest stronnictwo antyrządowe, mające w swym programie walkę z socjalizmem i komunizmem, dokonać przewrotu. Zgromadziło się ich kilka tysięcy osób i zamierzali dokonać pochodu na stolicę kraju. Rząd jednak wystąpił przeciw nim bardzo energicznie, aresztując przywódców, wskutek czego zamach się nie udał.

Ocaleni od śmierci. W zatoce Fińskiej oderwała się wielka płyta lodowa wraz ze stu rybakami rosyjskimi. Silny prąd morski uniósł płytę na pełne morze. Na ratunek sowiecka straż morska wysłała 25 samolotów, które dosięgły płytę lodową w zatoce Botnickiej. Samoloty zabrały kolejno wszystkich rybaków, ratując ich od niechybnej śmierci. Była to pierwsza na wielką skalę zakrojona akcja ratownicza tego typu.

Krwawe zaburzenia w Petersburgu. W Petersburgu, który obecnie nosi nazwę Leningradu, przyszło w ubiegłym tygodniu do krwawych zaburzeń. Przyczyną tego były masowe redukcje robotników w tamtejszych fabrykach. Liczba bezrobotnych w samym tylko Petersburgu sięga 100 tysięcy osób. Obecnie zwolniono ich z pracy jeszcze kilkanaście tysięcy. W zaburzeniach wzięło udział około sześć tysięcy robotników, którzy starli się z policją i wojskiem. Po obu stronach byli zabici i ranni.

Tragedja uchodźców rosyjskich. W pobliżu miejscowości Pojana chciało 8 rodzin chłopskich, złożonych z 27 osób, przedostać się z Rosji przez zamarznięty Dniestr do Rumunji. W chwili, gdy wszyscy znajdowali się już na środku rzeki, sowiecka straż graniczna zauważyła uciekinierów i poczęła do nich strzelać z karabinu maszynowego. Dwanaście osób padło na miejscu trupem, reszcie jednak udało się ujść na teren rumuński, ale i z tych kilka osób odniosło rany.

Miasto odcięte od świata. Ciągłe śnieżyce i silne mrozy, trwające od dłuższego czasu, utrudniają bardzo komunikację kolejową w całej Rumunji. Cały szereg pociągów na różnych linjach wstrzymano. Tragicznie przedstawia się los miasta Sulina. Wobec tego, że główna droga komunikacyjna, to jest Dunaj zamarzł, kilka zaś prymitywnych gościńców, wiodących do tego miasta portowego zawianych jest śniegiem, Sulina i jej międzynarodowy port odcięte są od reszty świata. Zapasy żywności, znajdujące się w mieście, mogą wystarczyć zaledwie na dwa jeszcze dni. Burmistrz miasta Suliny czyni wszelkie możliwe próby w celu sprowadzenia w jakikolwiek sposób żywności do miasta. Artykuły spożywcze dosięgają już lichwiarskich cen. Gazety rumuńskie zwracają się z apelem do ludności całej Rumunji o pomoc dla odciętego miasta Suliny.

„Święty sędzia“. W pewnej wiosce albańskiej w jednej z tamtejszych grot skalnych, żyje samotnie od wielu lat na pół zdziczały człowiek, opętany widać jakąś manją religijną i stroniący od ludzi. Mieszkańcy okolicznych wiosek uważają go jednak za świętego i z nabożną czcią odwiedzają zdziczałego samotnika.



Gdy w okolicy wybuchnie jakiś spór lub kłótnia, interesowane strony udają się do „świętego“ z korną prośbą, by sprawę osądził. Bez apelacji poddają się też jego wyrokowi. Jak głosi powszechna fama, wyroki tego „świętego“ są bardzo mądre i sprawiedliwe, co budzi tem większą cześć i wdzięczność, że nie przyjmuje on żadnych podarków. Sława świętego sędziego rozchodzi się szeroko. Nasza rycina przedstawia „świętego sędziego“, jak rozsądza jakiś spór.

Trup kobiety w męskiem ubraniu. W pewnej wiosce francuskiej odkopano w polu trupa kobiety w ubraniu męskiem. Zmarła mogła leżeć w ziemi około sześć miesięcy. Zaczęto dochodzić, ktoby to był i stwierdzono, że w okolicy tej przebywała przez dłuższy czas kobieta, Polka, która pracowała w fabryce w przebraniu męskiem. I nietylko pracowała, ale paliła fajkę, piła wódkę i jeździła na rowerze lepiej od niejednego mężczyzny. Legitymowała się jako Jan Chmieliński. Gdy jednak zbyt głośno zaczęto mówić o tem, że Chmieliński jest kobietą, tajemniczy robotnik spakował manatki i wyjechał w świat. Od tego czasu nie słyszano już o nim. Obecnie po znalezieniu owego trupa przypuszczano, że jest to właśnie trup tejże kobiety. Zwrócono się więc do władz polskich, aby ostatecznie sprawdzić te przypuszczenia. Okazało się jednak, że ów rzekomy Jan Chmieliński powrócił do Polski i wyszedł zamąż za niejakiego Synowieckiego, ja o Zofja Chmielińska i żyje szczęśliwie w Sobocie w Wielkopolsce, mając nawet dwoje dzieci. Brat zaś Zofji, Jan, od lat kilku pracuje w Ameryce. Kim więc jest ów tajemniczy trup kobiety w męskiem ubraniu, dotychczas wobec tego nie sprawdzono.

Groźna defilada floty amerykańskiej. Z powodu walk, toczących się między Chinami a Japonją pod Szanghajem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wysłały na wody oceanu Spokojnego niemal całą flotę wojenną, aby tam były przygotowane na wszelki wypadek. Siły morskie Stanów Zjednoczonych na oceanie Spokojnym wynoszą 199 okrętów wojennych. Na oceanie Atlantyckim pozostawiły Stany Zjednoczone tylko 9 łodzi podwodnych i 8 okrętów pomocniczych.

Porwanie synka Lindberga. Sławnemu lotnikowi amerykańskiemu Lindbergowi, który przeleciał z Ameryki do Europy ponad Atlantyk, ukradziono 19 miesięcznego synka. Uczynili to zapewne bandyci, aby uzyskać odpowiedni okup. Policja śledzi nadzwyczaj gorliwie za sprawcami tego czynu.

Zamach bandytów na kasyno gry. W znanej miejscowości kąpielowej Miami na Florydzie dokonano śmiałego napadu rabunkowego na kasyno gry „Embass-klub“. Bandyci, elegancko ubrani, weszli jako goście do klubu i w chwili największego ożywienia w salonie gry zaalarmowali grających okrzykiem „ręce do góry!“ W kuchni, przylegającej do kasyna gry, znajdowało się jednak kilku policjantów, którzy przyzwani na pomoc, wpadli do sali gry i dali kilka strzałów rewolwerowych do bandytów. Herszt zbrodniczej bandy został na miejscu zabity, trzech innych bandytów, dwu funkcjonarjuszy kasyna i jeden z gości, odnieśli rany. Jednemu z rabusiów udało się uciec, mimo, że został ranny w usta.

Nowa wyprawa do bieguna południowego. Znany podróżnik Byrd zapowiedział nową wyprawę do bieguna południowego. Wyprawa ma wyruszyć ze Stanów Zjednoczonych w marcu albo w kwietniu i spędzić na biegunie cały rok celem poczynienia spostrzeżeń naukowych.

Młode dziewczęta morderczyniami. Z Chicago w Ameryce Północnej donoszą o aresztowaniu tam dwóch młodocianych morderczyń, a mianowicie 16 letniej Marceliny Royce i 17 letniej Doroty Evans, które zamordowały komisarza policji, w chwili gdy interwenjował w awanturze, wywołanej przez wspomniane zbrodniarki i ich wspólników w pewnej restauracji. Dziewczęta owe wspólnie z czterema swymi towarzyszami opracowały projekt obrabowania pewnej restauracji w porze nocnej. W tym celu udały się najpierw obie do wspomnianego lokalu, skąd po chwili dały znak swym wspólnikom, którzy z rewolwerami wpadli do środka, demagając się od gospodarza wydania pieniędzy. W lokalu tym w owej chwili nie było gości. Na alarm wszczęty przez domowników, przybiegł przechodzący obok komisarz policji, ale zaledwie przekroczył próg lokalu, przywitany został przez obie zbrodniarki gradem kul rewolwerowych i padł bez życia. W obawie, iż nadchodzi cały oddział policji, zbrodniarze zbiegli następnie, nie uzyskawszy zamierzonego celu. Z zeznań, złożonych przez aresztowane, wynika, że inicjatorka napadu była młodsza z nich, Marcelina, która do tego strasznego czynu namówiła swą przyjaciółkę. Zapytane dziewczęta, dlaczego to zrobiły, odpowiedziały, że dla odmiany, aby doznać nowych wrażeń. Zapewne obydwie zbrodniarki poniosą śmierć na krześle elektrycznem.

21 miljonów bezrobotnych. Według obliczeń międzynarodowego biura pracy liczba bezrobotnych w 22 państwach przemysłowych całego świata wynosi obecnie 21 milionów osób.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

RZECZY CIEKAWE.

Polowanie na lwy.

Dla Europejczyka, posiadającego nowoczesne uzbrojenie, polowanie na lwy nie jest zbyt niebezpieczne. Myśliwi używają do tego celu kul wybuchających, należy więc tylko dobrze celować, aby lwa nie chybić, a wszystko jest w porządku. Kula, utkwiwszy pod skórą lwa, wybucha i czyni go niezdolnym do żadnej walki.



Trudniejszem jest polowanie dla krajowców afrykańskich, którzy takiej broni nie posiadają. A co gorsza polować oni na lwy muszą, aby te nie zapolowały na nich. Używają do tego tylko długich dzid, zakończonych zatrutemi ostrzami. Zwykle gdzieś nad strumieniem, gdzie pije wodę lew, przywiązują do drzewa kozę, która żałosnym bekiem zwabia lwa ku sobie. Sami zaś ukrywają się w zaroślach i czekają na przybycie niebezpiecznego przeciwnika. A gdy ten nadejdzie i nim się zbliży do nieszczęśliwej kozy, zasypują go zatrutemi pociskami. Ranny lew uchodzi, brocząc krwią obficie. Za jego śladami podążają murzyni i o ile możności ranią go dalej, dopóki król pustyni nie padnie martwy. Potem zabierają go na drąg i niosą do swej osady, jak to widzimy na naszym obrazku. Zdarza się jednak często, że lew, zamiast na kozę, rzuca się na któregoś z ukrytych murzynów i nim mu inni pospieszą z pomocą, kładzie go trupem.

Ubranie ludzi pierwotnych.

Najważniejszą ochroną człowieka pierwotnego wobec zimna była obok ognia, nie wszędzie zresztą rozpowszechnionego, odzież sporządzona ze skóry zabitych zwierząt, lub kory drzewnej. Zakrywano ciało, nie z powodu nieznanej wówczas wstydliwości, jeno w celu ochronienia go w zetknięciu z dziką, brutalną naturą, lub też w celu ozdoby.

Kombinacją ozdoby i ubioru jest malowanie, tatuowanie, lub pokrywanie ciała bliznowatymi rysunkami. Jest to najstarsza forma stroju.

Ogólnie rzec można, iż popęd do strojenia ciała stoi w odwrotnej proporcji do rzeczywistej potrzeby jego okrywania. To też najbardziej rozpowszechniane jest ozdabianie się w krajach gorących, gdzie przyroda nie wymaga zabezpieczania się przed jej kaprysami. Młodzież w strefach tropikalnych chodzi zupełnie nago, jeno dorośli noszą na biodrach opaski mniej lub więcej fantastycznie zawiązanie, często ozdabiane frędzlami. Na rękach i nogach noszą metalowe bransolety, w uszach ogromne kolczyki, na piersi zaś zwisają naszyjniki misternie sporządzone z kłów dzikich zwierząt.

Charakterystycznem jest, że u ludów pierwotnych popęd do ozdabiania ciała występuje o wiele żywiej u mężczyzn, niż u kobiet. — Objaśnić jednak można to tem, iż u egzotycznych ludów ozdoba nie koniecznie służy do zwracania na siebie uwagi płci odmiennej, ale jako odznaka, świadczy ona przeważnie o godności i stanowisku zajmowanem w społeczeństwie.

Czesław Wośkowski.

Przesądy.

Do dzisiejszego dnia zachowały się jeszcze na wsi wierzenia sięgające odległych czasów, kiedy to człowiek mieszkał w jaskini i lękał się rzeczy nieznanych, uważając je za przejawy woli rozlicznych bogów. Wprawdzie obecnie wieśniacy w bóstwa nie wierzą, a jednak niektórzy zachowują się czasami, jak gdyby je uznawali. Naprzykład tak popularna wróżba z kart, czyż nie jest zabytkiem zamierzchłej epoki, kiedy sądzono, iż bogowie kierują ręką wróżki. Albo też wiara w sny, w których los ma objawiać przyszłe dzieje. Czyż nie dziwacznem wydaje się nam życzenie zdrowia kichającemu. Powstało ono stąd, iż człowiek pierwotny myślał, że różne duchy mogą go nawiedzać, wchodząc w jego ciało i zeń wychodząc. Kichanie miało być znakiem przybycia bóstwa. Podczas ziewania niektórzy żegnają się, by tym sposobem zapobiec wtargnięciu złego ducha. We wszystkich krajach istnieje zwyczaj picia na czyjeś zdrowie. Dawniej wydawano uczty na cześć bogów i duchów przodków; biesiadom tym towarzyszyły modlitwy o opiekę duchów nad żywymi, z czego następnie powstał zwyczaj wypowiadania w skróconej formie życzeń zdrowia i pomyślności. Na wsi dużo ludzi jeszcze wierzy, iż piorun jest ogniem z nieba, i że nie należy ratować domu zapalonego od gromu. Wierzenie to sięga zamierzchłych czasów, kiedy to uważano, że bóg piorunów upatruje sobie ofiarę, więc nie należy mu jej odbierać, żeby się nie narazić na jego zemstę. Na szczęście te i im podobne przesądy zanikają już stopniowo, wypierane przez postęp cywilizacji.

Czesław Wośkowski.

Samolot na usługach rolnictwa.

W Rosji Sowieckiej na Krymie rolnictwu daje się bardzo we znaki mały gryzoń, tam popularnie zwany susłem. Szkodnik ten niszczy całe hektary zasiewów. W ubiegłym roku przystąpiono do walki z nim nową metodą, mianowicie zapomocą samolotów. Dotychczas zwalczano go ręcznie truciznami chemicznemi — gazami bojowemi. Przy pracy ręcznej, dwóch robotników mogło zniszczyć nory i za-

truć tego szkodnika na przestrzeni 4 ha. w ciągu dwóch dni roboczych. Używając samolotu, obrabiają 100 ha. przez jedną godzinę. Praca płatowca polega na tem, że lotnik obsypuje pole zatrutem ziarnem. Używa do tego ziaren możliwie dużych, których nie tykają ptaki, a więc kukurydzy moczonej w wodnym roztworze strychniny. Na hektar pola bierze się 100 kg. zatrutego ziarna kukurydzy. Obliczenia wykazały, że ginie w ten sposób 80 procent tych gryzoniów.

Obecnie przystąpiono też do prób opylania młodych roślin, które stanowią podstawową paszę susłów, solami arsenowemi, lecz narazie wyniki nie są jeszcze znane.

Doświadczenie wyżej opisane dowodzi niezbicie, że moc jest jeszcze dziedzin życia, w których cudowny wynalazek aparatu lotniczego może dać dla dobra ludzkości nieocenione usługi.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Wojciech Płoskonka** w G.: Dwa roje można ze sobą łączyć tak w lecie, jak i na wiosnę byle w dzień ciepły. W silnym pniu, gdzie jest stara matka, trzeba ją zeń dzień wcześniej usunąć. Następnego dnia chwyta się młodą matkę w ulu słabym i umieszcza w klateczce wraz z kilku pszczołami; dobrze jest dać tam troszkę miodu, byle nie wyciekał. Następnie obydwa roje podkurza się lekko dymem, aby nabrały podobnego zapachu. Wreszcie z osieroconego pnia wyjmuje się plaster za plastrem, przenosi się je do ula, w którym jest matka i strzepuje na dno ula. Gdyby był w którym plastrze czerw, to plaster ten należy wstawić do ula, w którym mają pszczoły pozostać lub do innego słabego pnia. Po przeniesieniu wszystkich plastrów należy pozostałe pszczoły w dawnym ulu wysypać na prześcieradło i przenieść do nowego ula. — Matkę należy wypuścić z klatki po 24 godzinach. A może tylko zdaje się Panu, że pień bardzo przez zimę osłabł? Może trzymając go ciepło z wiosną i podkarmiając silnie syropem dałoby się go tak wzmocnić, żeby dał sobie radę w przyszłości? Wszystko to możnaby ocenić na miejscu. **Józef Mokrzycki** w N. S.: Druk powieści „Trucicielki" rozpoczniemy po ukończeniu „Dziwów życia", gdyż chcemy ją drukować z obrazkami. **Jan Pelczar** w W. S.: Ze względu na drażliwość niektórych czytelników, nadesłanego nam ostatnio artykułu drukować nie możemy. Nie chcemy rozogniać nieuzasadnionych uprzedzeń, gdyż to jeszcze bardziej wzburzyłoby umysły, które należy uspokajać. **Julja Kołek** w W.: „Wrażenia z Golgoty" i humor zamieścimy niebawem, gorzej jest jednak z humoreską, gdyż trzeba ją przepisywać i nieco przerobić. Żarcik niezły. Maciuś za ładne powinszowanie serdecznie dziękuje. Pojechałby tam do was, ale boi się wilków, gdyż w tamtych stronach lasów dużo. A może latem się wybierze na grzyby. Czy znajdzie towarzystwo? **Czesław Strzelczuk** w B.: Humoreska rzeczywiście dobra, wkrótce ją zamieścimy. Wierszyk słabszy. Nie. A który to nowy prenumerator? Czy może na Pański adres posyłać 2 egzemplarze? Na prenumeratę Pańską wpisaliśmy dotychczas 5 zł. 70 gr. Pod wskazanym adresem dla ks. proboszcza wysłaliśmy wszystkie numera od Nowego Roku. **Jan Zalany** w B.: „Rolę" wysyłamy Panu we czwartki, więc w piątek jest już w gminie. Niech Pan upomni wójta, aby „Rolę" doręczano Panu tego samego dnia, a jak nie pomoże to niech nam Pan napisze, a wyślemy skargę do starostwa. **„Haef"** w T.: Nie jest to babskie bazgranie, jak Pani twierdzi, gdyż w nowelce jest polot i łatwość opowiadania; brak jednak jeszcze opanowania formy. Może dalsze próby będą lepsze. **Stefan Kulis** w D.: O tym psie już w jakiejś gazetce czytaliśmy, przeto nie zamieścimy. Do druku trzeba: po pierwsze przysyłać utwory własnego pomysłu, a powtóre trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru. **Kazimierz Rydel:** O pielęgnowaniu drzewek owocowych pisaliśmy w dwóch ostatnich numerach „Roli". Takiej odmiany nie znamy, nie możemy więc powiedzieć, czy to zimowa, czy letnia. Powinienby ten objaśnić, od kogo Pan drzewko nabył. **Piotr Wenc** w S.: Baśń z Łysejgóry zamieścimy. **Władysław Cudzich** w K.: Z zagadek skorzystamy, z wierszyków nie. **Kazimierz Mirowski** w Rz.: Po rasowe matki pszczele niech Pan napisze do p. Juljana Piwowarskiego (Miechów Sad i pasieka) i niech się Pan powoła na osobistą znajomość ze mną. P. Piwowarski przyrzekł mi, że będzie się starał czytelnikom „Roli" wysyłać matki tylko najlepszej jakości. **Jadwiga Nitecka** w Z.: Tylko zwrot biletu kolejowego i furkę do stacji; reszta zupełnie bezinteresownie. Najlepiej w kwietniu.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bożek Gallów.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bożek żmudzki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Francji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pisarz niemiecki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierw. chemiczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Śpiew.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Urwisz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Małpa długoręka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Poeta norymberski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sępy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Mówca ateński.

Litery w miejscach czarnych kwadracików dadzą rozwiązanie.

2. Zagadka.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Choć nie traci swego brzmienia,
Jednak ma on dwa znaczenia,
Jest on wielki, okazały, jest także i mały,
Pierwszy budowlą, drugi przyrządem bywa
I ten i tamten jak się też nazywa?

3. Szarady.

I.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Na nic twe wymówki Maciusiu waszecia,
Bo Kasia do ciebie reszta pierwszej druga trzecia
Podobno w zapusty ślub twój cię nie minie,
Idź w całość, kup prezent rozkosznej dziewczynie.
Dużo trzecia wymaga wysoko trzecia pół pierwszej i druga,
Kasia pierwsza już cieszy i oczkami mruga.

II.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Pierwsze drugie trzecie imię męskie znane
Ale mało jest ono przez nas używane.
Nieraz trzecie jeździsz pierwsze czwarte,
Bo piękny to sport i dla zdrowia warte,
Piąte poetą polskim jest dobrze nam znanym,
Całość hen! leży nad morzem Czarnem;
Miasto to starożytne piękne i duże,
Ale niestety nie chrześcijaństwa to przedmurze.

4. Uzupełnianka.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).

				A				
			A		A			
		A				A		
	A						A	
A								A
	A						A	
		A				A		
			A		A			
				A				

1. Gatunek gruszki. 2. Dachówka z wygiętemi brzegami. 3. Skała, odmiana bazaltu. 4. Rogoza. 5. Przedni oddział wojska. 6. Próżniak. 7. Wielka burza w nocy. 8. Gatunek materji jedwabnej. 9. Nauka o formach języka.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 18 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 9 „Roli": 1. Arytmogryf: Jan Liwosz. 2. Szarady: I. Marony, II. Banita, III. Arena. 3. Uzupełnianka: Rakieta-granica-karabin-potrawa-Samaran-pantera. 4. Bilety wizytowe: I. Komedjant, II. Malarz szyldowy.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Antoni Poloczek z P., Piotr Wenc z S., Helena Suchankówna z Ł., Jan Gara z W., Teofil Burman z K., Jan Smaza z A.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Gara z W. i Helena Suchankówna z Ł.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nowa droga.

Inżynierowie wymierzyli teren, przez który ma przejść nowy tor kolejowy. W tym celu zwołują wszystkich właścicieli gruntów.

— Nowa linja kolejowa — opowiada inżynier do jednego wieśniaka — ma przejść prosto przez waszą chałupę.

— To mi obojętne — rzekł gospodarz. — Ale pan się myli, jeżeli pan inżynier myśli, że ja, albo moja żona będziemy za każdym razem, gdy pociąg nadejdzie, otwierać mu drzwi i potem zamykać!



U zegarmistrza.

— Co kosztuje ten zegar?

— 50 złotych. Jest to zegar, który idzie 30 dni bez nakręcania.

— Nie może być! A ileby szedł, gdyby go nakręcić?

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 marca b. r.

Pszenica	27·50—27·75	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto .	25·25—25·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—250·00
Jęczmień .	22·00—22·50		
Fasola biała	22·00—25·00	Mąka żytnia	41·00—41·50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	45·00—45·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	15·00—15·25
Łubin żółty	19·00—20·00	Otręby żytnie	15·00—15·25
Koniczpastew.	15·00—16·00	Mąka czerw.	18·00—19·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 4 marca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę lżejszej wagi	od 1·40 do 1·50

Jaja wylęgowe po pierwszorzędnych nioskach kur rasy białe zielononóżki Wyandottów białych, Leghornów białych oraz Karmazynów wysyła po 40 gr. za sztukę za pobraniem pocztowem hodowla drobiu rasowego Stanisława Kozła w Sidzinie poczta Skawina.

Zaraz sprzedam nowy domek, dwa morgi pola obsianego, sprzęty domowe, ładna krowa, mały sadek, woda przy domu, kościół na miejscu. Adres: Piotr Miękina, Raciborsko (poczta w miejscu), powiat Wieliczka.

Baczność Pszczelarze!

Żądajcie bezpłatnie cennika i próbek **węzy sztucznej z najgłębszemi komórkami.** Węza nasza jest wyrabiana najnowszym sposobem, dlatego jest elastyczna i mocna, jak skóra. **Pszczoły i matki pszczele rasowe** również do nabycia.
Adres: **Pasieka przemysłowa: E. RADOMSKI poczta Klewań 2.**



Dostarcza:
Hamaki, siatki tennisowe. Sprzedaje konopie i kupuje lub zamienia na gotowe wyroby.
Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Na żądanie wysyła cenniki.

Baczność!

Nowo otwarta **introligatornia i sprzedaż papieru, przyborów szkolnych i kancelaryjnych oraz walizek, teczek, portfeli i torb w Strumieniu,** Śląsk Ciesz. (naprzeciw poczty).
Solidna i trwała oprawa książek, po cenach bardzo niskich. O wszelkie prace i zakupy uprasza
E. Brachaczek, Introligator.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł.

Matki pszczele rasowe sprzedaję i wysyłam począwszy od czerwca do października, po otrzymaniu ceny: matki rasy kaukaskiej czerwonokoniczynnej po 12 zł, włoskie po 10 zł., amerykańskie, cypryjskie i palestyńskie po 15 zł. Ze względu na duże zapotrzebowanie należy zamawiać zaraz. Na odpowiedź dołączyć znaczek za 35 gr. **Juljan Piwowarski sad i pasieka p. Miechów (Kieleckie).**

Aparat fotograficzny mało używany, w dobrym stanie, okazyjnie do sprzedania. Wymiar: 10×15, podw. anastygmat Mayera F. 1:4.5, podwójny wyciąg, ognisk. 18 cm. Dodatki gratisowo: 1 futerał skórzany na aparat i 6 kaset z rzemieniem przez ramię, 1 statyw drewnianyczterodzielny polerowany, 6 kaset do płyt i 1 kaseta do błon płaskich. Na żądanie służę wzorami zdjęć fotogr. Cena na zapytanie. Początkującym udziela listownie bezinteresownie gruntownych informacyj fotograficznych. Adresować: Br. January Wilk, Dukla, Małopolska.

Wielki ilustrowany Kalendarz Powszechny
na rok 1932

jest już do nabycia w Administracji „Roli“ po cenie 2 zł. 95 gr. — Po zgłoszeniu zamówienia wysyłamy czek na Kalendarz w numerze »Roli«.



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ
dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem
366 obiadów
ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli“.**

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów, prosimy o podawanie nam także dawnego adresu, pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy pierwotny adres mogli wykreślić, a nowy wpisać.